

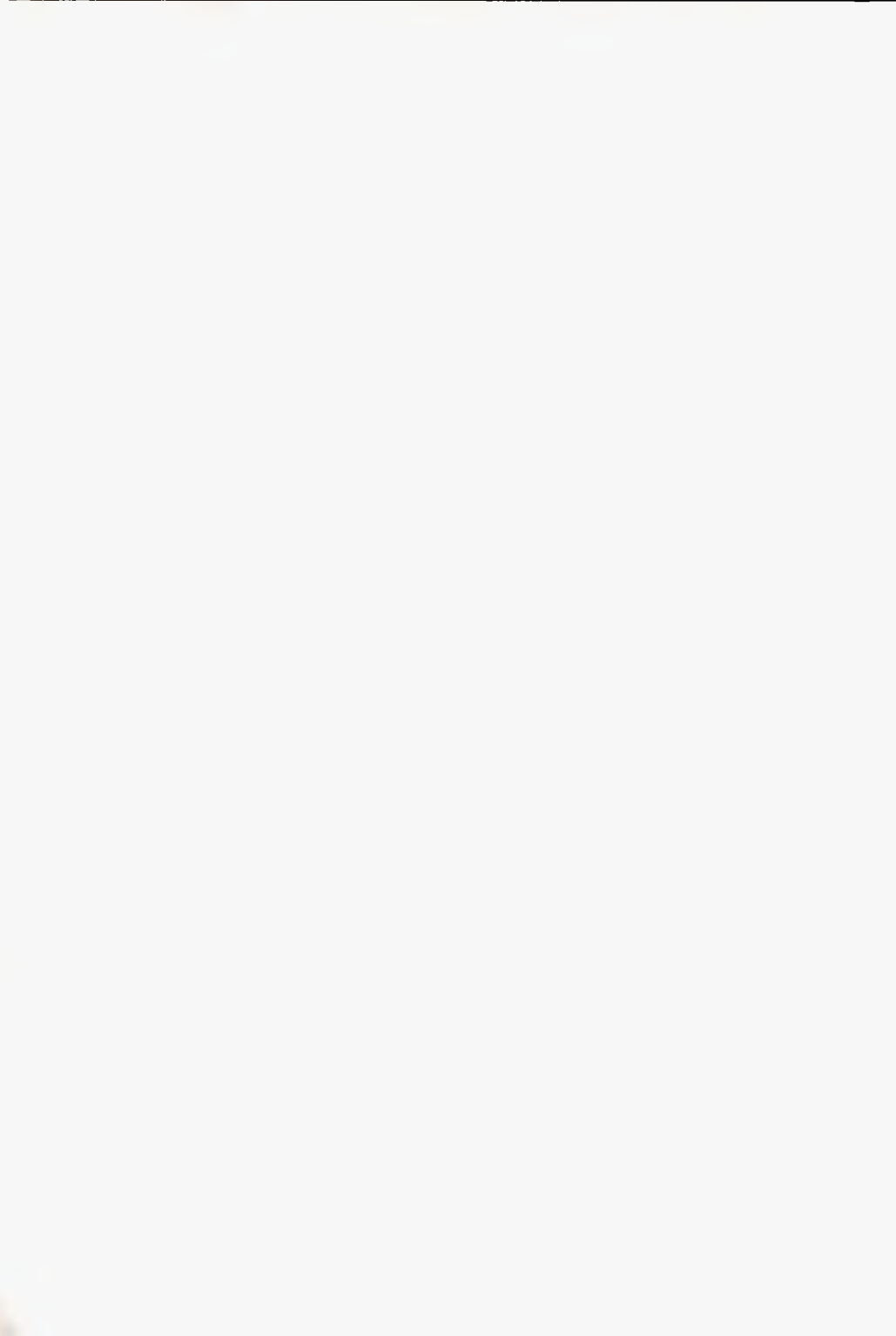
Kazimierz Józef Węgrzyn



PRZEZ CZERWONE MORZE

Kazimierz Józef Węgrzyn
PRZEZ CZERWONE MORZE

Instytut
Badawczy, Kraków
Krzysztof Kamionkowski
Krzysztof Kamionkowski
Warsz. 06, 23



Kazimierz Józef Węgrzyn

PRZEZ CZERWONE MORZE

Pallottinum 1997

Projekt okładki i opracowanie graficzne
Stefania Bojda

Redaktor
Aldona Fabiś

© Copyright by Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1997

ISBN 83-7014-293-1

Drukarnia Pallottinum, 60-959 Poznań, ul. Przybyszewskiego 30
Tel. 867-52-33, fax 867 52 38. Zam. 31/1997

kjw.poceta@op.pl
4-603 687 795

„Nie ma ziemi jałowej”

Paweł Lisicki, polemizując z Czesławem Miłoszem, napisał: „Sam odnajduję niekiedy w wierszach współczesnych (a odnosi się to także do poezji Miłosza) tę samą namacalność i bliskość świata niewidzialnego i nadprzyrodzonego co moi przodkowie przed wiekami” Jest to odpowiedź na diagnozę Miłosza dotyczącą stanu świadomości współczesnej: „Coraz więcej ludzi nie wierzyło w nic, nawet w prawdę nauki”. W poezji współczesnej, nie tylko polskiej, znaleźć można tęsknotę za metafizycznym sensem i przestrogę przed istnieniem pozbawionym tego sensu.

Kazimierz Józef Węgrzyn, autor kilku tomików wierszy, współpracownik „Gościa Niedzielnego”, na pewno należy do ludzi o wyrazistych poglądach, prezentowanych w twórczości poetyckiej. Jego liryka zakorzeniona jest mocno w ziemi rodzinnej, w myśli religijnej, w literaturze polskiej, w historii i współczesności Polski. Czującymi słowami pisze o miejscach znanych tak dobrze mieszkańcom Beskidów – Stecówce, Jaworzynce, Kubalonce, Ochodzitej, Baraniej Gorze, Kamesznicy, Skrzyczem itd., itd... Przyroda, malowana często kolorem zielonym (tytuł jednego z tomików „Zielona parafia”), jest bliska człowiekowi, pełna znajomych akcesoriów, zdobią ją drzewa o nazwach znanych, proste kwiaty: malwy, słoneczniki, maki, stokrotki, kaczence. Jej obraz jest obcy awangardowemu obrazowi cywilizacji urbanistycznej, poeta pisze o „wrzawie natrętnego miasta”, o „hałasie świata”

Psychologiczny efekt uspokojenia, jaki daje obcowanie z naturą, jest dla autora ważny, ale, wydaje się, nie najważniejszy. W obcowaniu z przyrodą człowiek odkrywa twarz Boga osobowego, w jego odczuciu sfera profanum łączy się harmonijnie ze sferą sacrum:

tu mi jest łatwiej spotkać Boga
nabrać otuchy oraz mocy

Lasy stają się kościołem, „zieloną parafią”, po której spaceruje Bóg w złotym lub zielonym ornacie, w przydrożnej kapliczce Chrystus prostuje zdrętwiałe na krzyżu ramiona, a pod Ochodzitą czeka na „dobrego człowieka”, który „balsam modlitwy wleje Mu na rany”.

Wzruszenie budzi zamieszczone w poincie wiersza „Bóg” wyznanie:

im bardziej jestem bliski lotnej garści piachu
tym większy w moim życiu Wszechmogący Bóg.

Przyroda, Bóg, człowiek, dom to w poezji Węgrzyna nakładające się i harmonijne płaszczyzny, zakłócenie tej harmonii jest groźne przede wszystkim dla człowieka. Takie spojrzenie na kosmos wywieść można z poezji Jana Kochanowskiego; skojarzenia i cytaty literackie są bardzo wyraźne w poezji Węgrzyna. Najmocniejszy wpływ wywarła na nią na pewno tradycja romantyczna, czego poeta ma pełną świadomość, pisząc: „drwią... że romantycznym okrywam się płaszczem”. Romantycznej proveniencji jest pragnienie czucia i cierpienia, modlitwa o twórczy niepokój, zawierzenie instynktownemu przeczuć, poczucie związku z przeszłością, przywiązanie do wolności, bunt przeciwko otaczającemu światu, wiara w jednoczącą moc języka, a także tradycyjna na ogół budowa wierszy i użycie symboliki romantycznej. Poeta czujnie reaguje na czas współczesny; pisze o sprawach ważnych dla ludzi żyjących w określonym miejscu – w Polsce – i w określonym czasie – niektóre wiersze są datowane, wprowadzono do nich cytaty z prasy codziennej. Ten żywy kontakt ze współczesnością powoduje, że niekiedy wiersze zbliżają się do sfery publicystyki.

Autor, powodowany imperatywem moralnym, ukazuje w lustrze swoich wierszy czas terażniejszy, pisze o niepokojących zdarzeniach życia, o sposobie myślenia człowieka współczesnego:

i pazury nam rosną
zamiast czułych rąk.

Tłumaczy ludziom nie rozumiejącym życia polskiego i złożoności stosunków polskich XX wieku:

nie my pisaliśmy dymem
tragiczną historię naszych narodów
przez wieki dzieliliśmy się kromką chleba
która nie była inwestycją w historię
czy próbą robienia dobrych interesów
ale trudnym dziełem wypełnienia Dekalogu.

W wierszu „Spacer” ukazuje zagubienie współczesnego Polaka:

zaplątani w reklamy
w kolorowe miraż

prowadzimy na smyczy
chudą sukę marzeń

Ten świat polski kłębiący się konfliktami, pełen sprzecznych słów nie jest jednak „ziemią jałową” z poematu Eliota W najpiękniejszej początkowej zwrotce wiersza „W tę noc niech Jezus nie płacze” poeta pisze:

biały opłatku pokoju
ciepła isierko miłości
dzisiaj zostanie z tymi
którym zabrakło miłości.

A w wierszu „Modlitwa polska o mądrą wolność” modli się:

Boże! ptaków w niewoli
i tych na wolności
stań się dla nas przestrzenią
wiary i miłości.

Jako panaceum na problemy Polski i boleść każdego człowieka widzi poeta Dekalog, którego wielkim strażnikiem nazywa Jana Pawła II. Jego słowa wypowiedziane podczas homilii w Koszalinie 1 czerwca 1991 roku przywołał w motcie do wiersza „Węgielny kamień wolności”: „...od Dekalogu zależy przyszłość człowieka i społeczeństwa, przyszłość narodu, państwa, Europy i świata”. Poeta sięga do laboratorium człowieczeństwa, do owego – według słów Soboru Watykańskiego II – „najtajniejszego osrodka i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa”. Pisze wręcz prowokacyjnie:

dzisiaj gdy wolność
dla nas jest za trudna
bo nam komuna
przezarta sumienie
gdy nie umiemy
unieść DEKALOGU...

i kontynuuje:

a ja do Polski
pragnę wejść przez krzyże
przez tysiącletnie
prawo DEKALOGU
bo wiem że naród

z którego wyrosłem
mógł zawsze pewnie
ufać tylko Bogu.

I jeszcze:

jedynie prawda
MIŁOŚCI I WIARY
może być dla nas
węgielnym kamieniem.

Strażnik Dekalogu Jan Paweł II powiedział na Kaplicówce w Skoczowie: „Polska woła dzisiaj nade wszystko o ludzi sumienia!... Czas próby polskich sumień trwa! Musicie być mocni w wierze!” A dalej: „Na drogach ludzkich sumień, nieraz tak trudnych i tak bardzo powikłanych, Bóg postawił wielki drogowskaz, który życiu ludzkiemu nadaje kierunek i ostateczny sens. Jest nim krzyż Pana naszego Jezusa Chrystusa”.

Qui potest capere, capiat! „Kto może pojąć, niech pojmuje” (por. Mt 19, 12).

+ Jacek Rakoczy, bp

przez Czerwone Morze

*Temu Który buduje w nas wolność
Ojcu Sierotemu – najserdecznej*

♩ bądź pozdrowiony Pielgrzymie Nadziei!
♩ co nas prowadzisz przez Czerwone Morze
♩ pomóż nam unieść wielki cud wolności
♩ przez codzienności zdradzieckie bezdroże

♩ oto znów jesteś w Kraju swoich Ojców
♩ swojej ojczyźnie nad wislany brzegiem
♩ gdzie czas wyszywał długo przez stulecia
♩ nasze sztandary zakrwawionym scieżem

♩ oto znów jesteś gdzie Cię ufne tłumy
♩ wciąż oczekują w tej niezwykłej porze
♩ gdy się przed Tobą z lękiem rozstępuje
♩ śmiertelnie groźne i podstępne morze...

♩ bądź pozdrowiony Pielgrzymie Pogody!
♩ co w nas zarzucasz kotwicę pewności
♩ oto już świecą na brzegu latarnie
♩ światłem Nadziei – Wiary – i Miłości!

węgielny kamień wolności

*...od Dekalogu zależy przyszłość człowieka i społeczeństwa,
przyszłość narodu, państwa, Europy i świata.*

Jan Paweł II, Koszalin, 1 czerwca 1991 r.

dzisiaj gdy wolność dla nas jest za trudna
bo nam komuna przeżarła sumienie
gdy nie umiemy unieść Dekalogu
rzucam wam w twarzę tchórzliwe milczenie

bo nie umiemy wybrać spośród siebie
tylu uczciwych by zaufać Bogu
w krzykliwym wrzasku sejmowych idei
kładziemy ogień na ojczystym progu

który dla tylu był świętym marzeniem
że w kątach świata z tęsknoty szlochali
a odmawiając tułaczy różaniec
testament krwawy miłością pisali

by pamięć naszą spodloną przez wroga
przenieść przez groby i lata milczenia
gdy politycy w nawróconej Moskwie
handlują hańbą Września i Katynia...

to dzisiaj wolność dla nas jest za trudna
i Dekalogu prawo nam doskwiera
bo Europa podstępnej wolności
do przedpokoju furtkę nam otwiera

i nas poniża Judaszowym gestem
stawiając stragan przy każdym kościele
i drwi z przykazań co były nam prawem
dzwoniąc srebrników wypchanym portfelem

a my swobodą zachłyśnięci głupią
Bogu bezczelnie spoglądamy w oczy

i probujemy czy naszej wolności
koło fortuny gładko się potoczy

a ja do Polski pragnę wejść przez krzyże
przez tysiącletnie prawo Dekalogu
bo wiem że naród z którego wyrosłem
mogł zawsze pewnie ufać tylko Bogu!

ze wolność nasza musi być uczciwa
by sprawiedliwie z nami zamieszkała
biel – niech zostanie tak jak Hostia czysta
by z krwią w chorągwiach – symbolem się stała

by nas pogardy nie straszyły cienie
a werbel serca kłamstwo nie plątało
i by na cierniach naszego cierpienia
bezpieczne gniazdo nad Wisłą wzrastało

dzisiaj gdy wolność dla nas jest za trudna
bo nam komuna przezarła sumienia
jedynie prawda Miłości i Wiary
może być dla nas węgielnym kamieniem

który w fundament naszego wzrastania
wmurował Wielki Strażnik Dekalogu
gdy pielgrzymując do ziemi nad Wisłą
Ojczyznę naszą ofiarował Bogu!

bo ona w nas

(suplement)

a kiedy dom okradną swoi
i wysprzedają to co drogie
zawsze zostanie przecież wiara
że honor jest podparty Bogiem

i że Ojczyzna rośnie z wiary
naszej nadziei i miłości
że można kupić materialne
ale nie kupi się godności

że nam zostanie sens cierpienia
ta drzazga z krzyża w serce wbita
z której wyrośnie w gnoju dziejów
ta nasza Rzecz Niepospolita!

że póki jeszcze my żyjemy
Bogiem – Honorem – i Ojczyzną
nie będą ci co podle żyją
handlować naszą ojcowizną

i włóczyć Ją po targach świata
ubraną w darowane stroje
bo Ona w nas zostanie tutaj
lepiona żmudnie serca znojem

i choć nie będzie połączana
od świecidełek taka jasna
to przecież za to Ją kochamy
że jest nie cudza – ale własna!

Nawracanie Chochota, 1993



nasze zaśpiewy i kolędowanie

kolęda zagubionych

gwiazdy nam się pomieszały
na wysokim niebie
ta prawdziwa i czerwona...
...która jest dla ciebie?

ta z nadzieją nad Betlejem
czerwona nad nami
jak połączyć Zło i Dobro
naszymi sercami?

Bóg zapłacze dziś w stajence
maleńki i kruchy
ci co silne mają pięści
nie doznali skruchy

pomieszały się anioły
w locie ponad nami
jeden leci do Jezusa
a drugi z bombami

ten co leci do Betlejem
skrzydła ma puchowe
by osłonić delikatnie
Dzieciąteczku głowę

gdy żelazne drugi skrzydła
zas powłóczy światem
to skrwawioną dłoń podnosi
z gniewem brat nad bratem

poplątały nam się gwiazdy
serca i sumienia
o honorze mówią zdrajcy
kłamca – prawdę zmienia

Handwritten musical score for the carol "kolęda zagubionych". The score is written on a single staff with a treble clef and a key signature of one flat (B-flat). The lyrics are written below the notes. The score is divided into several measures, with some measures containing multiple notes. The lyrics are: "gwiazdy nam się pomieszały na wysokim niebie ta prawdziwa i czerwona... która jest dla ciebie? ta z nadzieją nad Betlejem czerwona nad nami jak połączyć Zło i Dobro naszymi sercami? Bóg zapłacze dziś w stajence maleńki i kruchy ci co silne mają pięści nie doznali skruchy pomieszały się anioły w locie ponad nami jeden leci do Jezusa a drugi z bombami ten co leci do Betlejem skrzydła ma puchowe by osłonić delikatnie Dzieciąteczku głowę gdy żelazne drugi skrzydła zas powłóczy światem to skrwawioną dłoń podnosi z gniewem brat nad bratem poplątały nam się gwiazdy serca i sumienia o honorze mówią zdrajcy kłamca – prawdę zmienia". The score is written in blue ink on a white background. There are some handwritten annotations in the margins, such as "jest" at the top, "em" and "Gwiazdy..." on the left, and "nami" and "nawpnie om. ca. m." on the right. The score is written on a single staff with a treble clef and a key signature of one flat (B-flat). The lyrics are written below the notes. The score is divided into several measures, with some measures containing multiple notes. The lyrics are: "gwiazdy nam się pomieszały na wysokim niebie ta prawdziwa i czerwona... która jest dla ciebie? ta z nadzieją nad Betlejem czerwona nad nami jak połączyć Zło i Dobro naszymi sercami? Bóg zapłacze dziś w stajence maleńki i kruchy ci co silne mają pięści nie doznali skruchy pomieszały się anioły w locie ponad nami jeden leci do Jezusa a drugi z bombami ten co leci do Betlejem skrzydła ma puchowe by osłonić delikatnie Dzieciąteczku głowę gdy żelazne drugi skrzydła zas powłóczy światem to skrwawioną dłoń podnosi z gniewem brat nad bratem poplątały nam się gwiazdy serca i sumienia o honorze mówią zdrajcy kłamca – prawdę zmienia". The score is written in blue ink on a white background. There are some handwritten annotations in the margins, such as "jest" at the top, "em" and "Gwiazdy..." on the left, and "nami" and "nawpnie om. ca. m." on the right.

gwiazdy nam się pogubiły
dziwna noc nad nami
wszyscy co wierzycie w Boga!
módlcie się za nami...

Trzecie pianie koguta, 1996

niech kolęda polska Ci dzwoni

jest
tak nam przykro że jesteś smutny
kiedy wiatr od Ojczyzny zawieje
bo znow kłamcy u nas są górą
i budują kłamliwe ~~na~~ dzieje

lecz pamiętaj jesteśmy z Tobą
tak jak w maju ostatniej wiosny
pamiętamy skrzydła Twych ramion
ten czas kiedy serca w nas rosły

choć przedarli biało-czerwoną
tej jesieni wbrew naszej woli
przecież wszyscy chcemy byś wiedział
że Twój smutek bardziej nas boli

więc prosimy wspomnij Ojczyznę
od Żywieca Wadowic Skoczowa
i tę łzę co wyrazi więcej
niżeli proste te słowa

tak nam przykro że jesteś smutny
gdy z ojczyzny wieści nadchodzą
ale tam gdzie rzucałeś słowo
nowe dzieje Polski się rodzą

śnieg przysypał bielą Beskidy
niech kolęda polska Ci dzwoni
i ta nuta znad Wisły znajoma
niech przed smutkiem jak tarcza Cię broni...

Trzecie pianie koguta, 1996

kolęda polska

jest

kolędo polska! wracasz co roku
by z nami zasiąść przy wspólnym stole
w kolejnym roku naszej wolności
bądź naszą gwiazdą na chmurnym czole

prowadź nas pewnie bezdrożem życia
do tego miejsca gdzie płacze Bóg!
odszukaj światłem twojej mądrości
w ciemności życia najkrótszą z dróg

gdzie Bóg się rodzi i moc truchleje
bo świat jest nadal spętany złem
tam nas zaprowadź sercem pogodnym
gdzie się spotkamy nad Twoim snem

będziemy wracać wszyscy do wspomnień
do tamtych śniegów i trudnych świąt
gdy naszych Ojców tułaczy żywot
rzucił w najdalszy na ziemi kąt

gdy na Syberii odarci z bliskich
z aniołem śmierci z lodowych piór
niczym zwierzęta w tamtej stajence
tworzyli smutny i głodny chór

wrócą w pamięci odległe grudnie
trudne Wigilie rozdartych rodzin
gdy pod oknami naszego domu
szczękały suki do późnych godzin

gdyśmy palili na oknach świece
prosilili Boga by podniósł dłoń
bo świat zapomniał w szczęku żelaza
że Twoja miłość to nasza broń

Handwritten musical score for 'kolęda polska'. The score is written on a single vertical staff with a treble clef and a key signature of one flat (B-flat). The music is written in a simple, rhythmic style. There are several annotations in the left margin: 'C' at the top, 'Prosimy' written vertically, 'G' and 'a' further down, and 'Kolęda polska' at the bottom. There are also some handwritten notes in the right margin, including 'jest' at the top and 'W. Anuszkiewicz' and '1974' near the bottom.

gdy nasze Matki blade od lęku
przez krzyże okien patrzyły z bolem
bo los roznosił w wojenne noce
oślepiłym trafem śmiertelne kule

kolędo polska! pełna dramatów
i gdzie Wigilia ma inny smak
gdy Bóg się rodzi wśród nocnej ciszy
to dla nas zawsze to dobry znak

że ocalimy przy wspólnym stole
w blasku kolędy Polskę i Wiarę!
lulaj Jezuniu! pod naszym domem
bo Tyś największym jest naszym darem...

Kolędy, 1994

kolęda beskidzka

od Czantorii
Ochodzitej
Baraniej
od groni
idzie beskidzka kolęda
po góralsku dzwoni/
niebo spadło na ziemię
z wszystkimi gwiazdami
i turla się po zboczach
pomiędzy świerkami

puka w okna domów
zdyszana od biegu
sarny tropem haftują
biały obrus śniegu

by na wielkim stole
po widnokrąg cały
Wiara i Nadzieja
z nami się łamały

opłatkiem wzruszenia
nutkami pogody
gdy zziębnięta kolęda
tupie w nasze schody

od Czantorii
Ochodzitej
Baraniej
od groni
idzie beskidzka kolęda
w nasze serca dzwoni...!

Kolędy, 1994

nasza kolęda

jest

D f#m e f#m e f#m

nasza krucha kolęda połamała skrzydła
 gdy leciała do nas przez ostatni rok
 przy kulawym stole siedzi oswiała
 i lekliwie patrzy w nadchodzący rok

f#m d e f#m d e f#m d e f#m
 Betlejemską Gwiazdą zaginęła w drodze

trudno dzisiaj odnaleźć gdzie rodzi się Bóg
 żebrak siedzi pod murem i drżącymi dłońmi
 płacze z łękiem ostatnią z naszych polskich dróg

jak przełamać opłatek choć jest kruchy jak sen
 jak nam wejść w ten zaklęty i radosny krąg
 gdy warczymy na siebie spoza kraty gniewu
 i pazury nam rosna zamiast czułych rąk...

Kolędy, 1994

The musical score is written on a grand staff with a treble clef and a key signature of one sharp (F#). The lyrics are written below the notes. Chords are indicated by letters above the staff. The score includes various musical notations such as slurs, ties, and dynamic markings.

Lyrics and chords from the score:

- D A D e D A*
- nasza krucha kolęda
- przy kulawym stole
- f#m*
- Betlejemską Gwiazdą zaginęła w drodze
- trudno dzisiaj odnaleźć gdzie rodzi się Bóg
- żebrak siedzi pod murem i drżącymi dłońmi
- płacze z łękiem ostatnią z naszych polskich dróg
- f#m d e f#m d e f#m d e f#m*
- jak przełamać opłatek choć jest kruchy jak sen
- jak nam wejść w ten zaklęty i radosny krąg
- gdy warczymy na siebie spoza kraty gniewu
- i pazury nam rosna zamiast czułych rąk...
- f#m d e f#m d e f#m d e f#m*

kolęda oczekiwania

świerki w komzach śniegu
odświętnie ubrane
nad groniami srebrzyście
dzwoni lodu ornament

po przełęczach się snuje
biały anioł śniegu
wypatruje z uwagą
znaku niebieskiego

ziemia błyszczy od gwiazdek
jak rozbity diament
co się zsywał ogniami
w nasze serca stroskane

cisza dzwoni w dolinach
halny zamilkł przy basach
jeszcze będzie okazja
by po górach ~~po~~hasać

teraz wszyscy czekają
gdy północ zadzwoni
będzie Jezus kołysał
świat w małej dłoni

i pójdziemy do Niego
jak przez wszystkie lata
prosić po raz kolejny
o opiekę dla świata...

Kolędy, 1994

kolęda gorzka

jest

na śmietniku leży
Jezus malusienki
nieprzytomny z głodu
bez swojej Mateńki...

w kołysce z pogardy
w pieluszce z gazety
kto ten los zgotował
czy to czasem nie ty....!"

Jezus malusienki
od zimna zsiniały
zaciska usteczka
aby nie płakały

by chociaż na Święta
w chwili pojednania
sumienie nie gryzło
tych od .. zabijania...!

Kolędy, 1994

Handwritten musical score for 'kolęda gorzka'. The score is written on a single staff with a treble clef and a key signature of one flat (B-flat). The melody is written in a simple, folk-like style. There are several handwritten annotations in Polish: 'jest' at the top left, 'zgotował' at the top right, 'bez swojej Mateńki w kołysce / czy to czasem nie ty?' in the middle right, and 'nieprzytomny' at the bottom right. A large bracket is drawn under the first two lines of the score.

kolęda wstydliva

Do tego cmentarzyska ofiar ludzkiego okrucieństwa w naszym stuleciu dołącza się inny jeszcze wielki cmentarz: cmentarz nienarodzonych, cmentarz bezbronnych, których twarze nie poznała nawet własna matka, godząc się lub ulegając presji, aby im zabrano życie, zanim jeszcze się narodzą.

Jan Paweł II, Radom, 4 VI 1991 r.

**Matko! nienarodzonych
pobawionych imienia
wyrzuconych na śmietnik
niehumanitarnego sumienia**

**dzisiaj śpiewa kolędę
w nas wstydlive milczenie
referendum rozpaczy
pod czerwonym kamieniem**

**tylu nienarodzonych
u Twych kolan płacze
przyjmij naszą modlitwę
już sumienie kracze**

**Mała Ludzka Kruszyna!
w prześcieradle krwi
nim się narodziła
już śmiertelnie śni**

**z pewnością odciętą
bezlitosnym wyrokiem
zawinięta w gazetę
przydeptana mrokiem**

**śni o oczach matczynych
których nie zobaczy
o czułości i bólu
zaplątanych w rozpacz**

*Infans. m. c.
Mała Ludzka*

*Matko
dławiący*

i w śm. drzy.

przyjmij

o ramionach ojcowskich
jak słoneczna dolina
w które wraca się ufnie
kiedy kłamstwem zacina

na szpitalnym śmietniku
Krwawy Strzęp Bóg podnosi
i nadaje Mu imię...
Janka... Ewy... czy Zosi...

potem głosem donośnym
wszystkich świętych zwołuje
i powtarza imiona
i do księgi wpisuje

i troskliwie oddaje
w ręce Matki splakanej
tajemnicę istnienia
Dekalogu testament

Matko! nienarodzonych
pozbawionych imienia
wyrzuconych na śmietnik
niehumanitarnego sumienia

Opiekunko! bezbronnych
zdławionych przemocą
których tulisz najczulej
Wigilijną Nocą...!

spraw by domu naszego
mógł przekroczyć próg
z radością witany
zapłakany Bóg!

Matko! osieroconych
Matko Chrystusowa!
nad kołyską miłości
przyjm te gorzkie słowa...

Kolędy, 1994

jest

kolęda wędrowców

przestrzeń jak biały anioł
gdy śpi pod świerkami
czeka aż wiatr poruszy
białymi skrzydłami

w kurzawie śnieżnej wstanie
i świat nam przesłoni
i będzie chłodną ręką
szukał naszej dłoni

i wywiedzie nas w wieczór
gdzie na niebie tleje
drżąca gwiazda co wybuchnie
cudem nad Betlejem

i wśród tego cudu
będziemy witali
małego Boga
który świat ocali

przestrzeń jak biały anioł
obudzony zimą
przez przełęczę leci
z radosną nowiną...

Kolędy, 1994

kolęda nadziei

jest

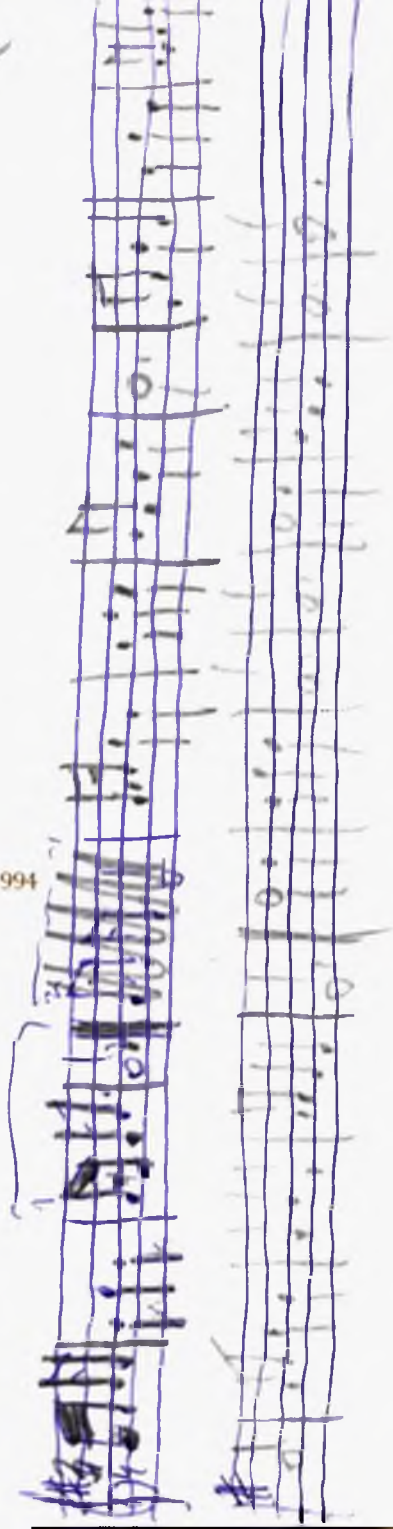
gdy się zima rozbieli
w wigilijny czas
będziesz pytać w milczeniu
co zostało z nas...?

krucha będzie ta radość
❄ cieniutka jak szkło
na pobladłym obrusie
wypiszemy „kto”?

swieca będzie kołysac
jak okrętem pokojem
przełamiemy się lękiem
przełamiemy oboje

tyle gwiazd będzie swiecic
jak odnaleźć nadzieję
w tej co będzie prowadzić
poprzez noc do Betlejem...

Kolędy, 1994



Boże Narodzenie

już śnieg po polach obrusy kładzie
i mróz firanki zawiesza u okien
a Oni idą skuleni od zimna
przez nasze życie – grudniowym mrokiem...

On Ją ramieniem czułym prowadzi
bo Okruch Nieba Ona dźwiga drogi
szukają serca które Ich przygarnie
w imię miłości – w gościnne progi...

więc przyjdźcie do nas w blasku nadziei
serca kołyska na Niego czeka
gwiazda nad naszym domem już świeci
z ogonem wielkim – jak srebrna rzeka...

już śnieg po polach obrusy kładzie
i mróz firanki zawiesza białe
a Oni idą z Okruczem Nieba
by słowo znowu stało się Ciałem!

dm g

On Ję

gościnne progi

Kolędy, 1994

jest

kolęda żebracza

więc gdzie dziś Matko!
urodzisz syna
gdy wokół pustka
i groźna zima

w stajence serca
grzech stoi wołem
i bieda gdera
za pustym stołem

a my jak ptaków
wielkie straszdyła
którym bezduszność
złamała skrzydła

i porzuceni
przy drogach świata
z miską rozpacz
czekamy brata

gdy jednak zechcesz
być razem z nami
to podzielimy się
okruciami

potem jak ptaki
z kruszyną chleba
będziemy z Tobą
lecieć do nieba...

Kolędy, 1994

nice gbr

Handwritten musical score for 'kolęda żebracza'. The score is written on two staves. The top staff is a vocal line with lyrics written below it. The bottom staff is a piano accompaniment line. The lyrics are: 'więc gdzie dziś Matko! urodzisz syna gdy wokół pustka i groźna zima w stajence serca grzech stoi wołem i bieda gdera za pustym stołem a my jak ptaków wielkie straszdyła którym bezduszność złamała skrzydła i porzuceni przy drogach świata z miską rozpacz czekamy brata gdy jednak zechcesz być razem z nami to podzielimy się okruciami potem jak ptaki z kruszyną chleba będziemy z Tobą lecieć do nieba...'. There are handwritten annotations in blue ink: 'jest' at the top, 'nice gbr' on the left, and 'R' and '2x' in the middle. The piano part includes a 'C' time signature and 'army jak...' at the bottom.

kolęda zblakanych

jest

a gdzie są tamci co rzucili dom?
bo uwierzyli że zbudują nowy
że im do okien nie będą zaglądać
wierzb rozplakanych rozczochrane głowy

a gdzie są tamci co rzucili dom?
bo był im ciasny zagrzebany i ubogi
i uwierzyli dolarowym snom
kiedy mierzyli kręte życia drogi

a gdzie są tamci co przy naszym stole
mieli polski opłatek łamać razem z nami?
czy im szeleści mowy naszej szept
gdy kolęda polska tęskni pod ich drzwiami

a gdzie są tamci którzy pobłądzili?
bo puste miejsce na nich ciągle czeka
gdy Bóg się rodzi i truchleje moc
człowiek powinien tęsknić do człowieka...

Kolędy, 1994

jest

kolęda niepokoju

dzis na pustym miejscu
co przy stole czeka
z bladą twarzą siada
niepokoj człowieka

opłatkiem się łamie
zyczenia nam składa
przenikliwym wzrokiem
nasze twarze bada

gwiazda zasłonięta
obłokiem milczenia
jakby nie widziała
gdzie przyjazna ziemia

i choc wokół stołu
wszyscy się zbieramy
to drżącym opłatkiem
zyczenia składamy

kołowrotkiem godzin
przy stole dzis będą
prząc cieniutką nitkę
Niepokój z Kolędą...

Kolędy, 1994

jest

wigilia samotnych

a jak wygląda wigilia samotnych?
odartych z ciepła domu i radości
którym nie świeci nocą żadna gwiazda
których nie dotknie ciepła dłoń miłości...

z pustą przestrzenią kulawego stołu
gdy wokół siada ponure milczenie
a Czarny Anioł u krawędzi nocy
w nich się mocuje śmiertelnie z sumieniem...

więc jak wygląda wigilia samotnych?
tych co nie mogą być z nami dziś bliżej
którzy zbijają z bólu i rozpacz
dla Twoich ramion coraz nowe krzyże...

Kolędy, 1994

kolęda pamięci

jest

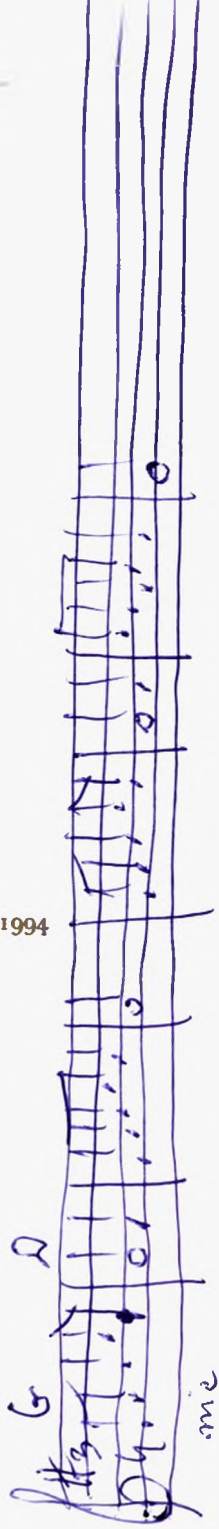
nie zapomnij gdy siądziesz
za szerokim stołem
o tych którzy są w drodze
strudzeni mozołem

o tych co pobłądzili
i patrzą z rozpaczą
czy przyjazne im światła
Betlejem wyznaczą

o tych którzy jak Syzyf
bez końca się trudzą
nieświadomi że próżno
zwycięstwem się łudzą

nie zapomnij gdy siądziesz
czekając na Boga
przywitać przyjaciela
i pozdrowić wroga...

Kolędy, 1994



16 lat
kolęda gwiezdna

jest

powrozem lęku
ciasno związani
idziemy milcząco
– gwiazda za nami

gwiazda nie taka
jakiej nie trzeba
by dojść do Boga
– by dojść do nieba

tyle już błędnych
gwiazd nam świeciło
więc chcemy takiej
– co wskaże miłość

co nam pokaże
niebieskie sady
w imię nadziei
– bez kłamstw i zdrady

i będzie świecić
Temu u skroni
co świat kołysze
– w małej dłoni...

Kolędy, 1994

kolęda



ci tylko co zostali bez twojej pomocy
jak trzcina niespokojna na wietrze się chwieją
dopóki jesteś z nami w wigilijny wieczor
jesteśmy wciąż bogaci niezmienną nadzieją

to ona naszym domem – wiernym przyjacielem
prostą drogą co wiedzie wśród grudniowej nocy
to ona z tej Kruszyny w betlejemskim sianie
wyrasta w naszych sercach i nabiera mocy...

i chociaż nieraz trzeba uciekać daleko
by życie nam zachować przed mściwym rozkazem
to zawsze znajdujemy betlejemską gwiazdę
która świeci nam w sercu jasnym drogowskazem

Kolędy, 1994

kołęda rozstania

jest

kołędo naszej tęsknoty
co czekasz na cud zbliżenia
milczymy coraz boleśniej
słowami twojego imienia

kołędo naszego rozstania
kołędo naszej tęsknoty
miejsca które nie wróci
dłonią pełną pieczyoty

kołędo naszej pamięci
zamazywana w łzach
blisko żyjemy z sobą
jedynie w dusznych snach

kołędo jedynej nocy
gwiazdy cudownej na niebie
pokonaj przestrzeń w ten wieczór
i przytul nas mocno do siebie...

Kołędy, 1994

kolęda drogi

jest

kolędo co niesiesz
zbudzoną nadzieję
biegnij moim krajem
kiedy noc ściemnieje

i białą łaską
czulej przestrogi
prowadź bezpiecznie,
przez polskie drogi

abysmy doszli
poprzez mrok i ból
by przywitać Tego
Który będzie królem

Który nam pomoże
drogami miłości
dojść do upragnionej
przez ojców wolności

wzmocni kruche ziarno
przydeptane błotem
by w polskim zagonie
zaszumiało złotem

Kolędy, 1994

Handwritten musical score for 'kolęda drogi'. The score is written on five staves. The first staff has a treble clef and a common time signature (C). The second staff has a bass clef and a common time signature (C). The third staff has a treble clef and a common time signature (C). The fourth staff has a bass clef and a common time signature (C). The fifth staff has a treble clef and a common time signature (C). The lyrics are written below the staves. There are handwritten annotations: 'jest' above the first staff, 'abysmy doszli -' to the right of the first staff, 'ref.' to the right of the second staff, and 'by przywitać Tego - królem' to the right of the fifth staff. The score includes various musical notations such as notes, rests, and bar lines.

kolęda wojenna

h - - - h -
lulajże Jezuniu! c - - - h -
choć wrogowie nasi
nam nie pozwolili
pragnienia ugasić

więc gdy nas mur dzieli
i żelazna krata
lulajże w naszych sercach
jak na krwawych kwiatach

lulajże Jezuniu!
bądźmy prosili
byś nas nie opuścił
w najważniejszej chwili

a gdy już dorośniesz
gdy już będziesz Bogiem
pochyl się nad światem
- nawróconym wrogiem...

Kolędy, 1994

kolęda biała

jest

kolędo białych obrusów
białych plam i milczenia
białych przestrzeni i sniegu
z białym opłatkiem wspomnienia

białych twarzy od lęku
koni białych od mrozu
biała katorgo zesłania
z szorstką legendą powrozów

biała jak skrzydło ptaka
co nam na stole leżała
z białą chorągwią śmierci
nad Wisłą naszego ciała

w biało-czerwonym zagonie
białe brzozy Katynia
białym wapnem zalane
usta naszego cierpienia

biały aniele pamięci
biały opłatku pogody
ocal sumienie świata
przed czarnym jutrem niezgody...

Kolędy, 1994

1 Kol

kolęda

- 2 jest

podnieś rączkę Boże Dziecię!
jak to czynisz już od lat
Twojej mocy nam potrzeba
aby istniał nadal świat

przychodzimy więc do Ciebie
przykłękamy u Twych nóg
by rozpaścić jasną gwiazdę
u rozstaju krętych dróg

niech prowadzi nas przez życie
światłem znaczy każdą noc
a ubóstwo niech osrebrza
i nadaje prawdzie moc

podnieś rączkę Boże Dziecię!
nad szaloną w pędzie ziemią
niech drapieżnych serc niepokój
na gołębi spokój zmienia

a nad krajem mi najbliższym
trwaj niezmiennym przykazaniem
aby w każdym polskim domu
nie wygasło serc czuwanie

i przy jasnym naszym stole
było miejsce w porę złą
dla zbłąkanych – i byś Boże!
błogosławił każdy dom...

Kolędy, 1994

podnieś

niedzi proroctw
Podnieś rączkę

kolęda dziadowska

V. jest

pod murem siedzi strzęp człowieka
o miskę głośno dzwoni
za ochłap chciałby tak jak ty!
kromkę przyjaznej dłoni...

pod murem siedzi strzęp człowieka
sumienie naszych dni
tłum kolorowy obok płynie
i z dziada głośno drwi...

pod murem siedzi strzęp człowieka
w Chrystusie biedny brat
pomysł i ty o kole losu
które obraca świat...

pod murem siedzi strzęp człowieka
i stuka Dekalogiem
rozmawia coraz ciszej
w naszym imieniu z Bogiem...

pod murem siedzi strzęp człowieka
z kruchym opłatkiem słowa
zima rozkłada biały obrus
na bruku zimnych główach

pod murem siedzi strzęp człowieka
gwiazda do nóg mu spada
Jezus w tę noc przybędzie
zabrać do nieba .. dziada!

kolęda opuszczonych

za blaskiem kolorowych świateł
i za rozpaczą co was budzi
czekam dziś na was – wasza siostra
kolęda... opuszczonych ludzi...!

czekam dziś na was w sieni domu
gdzie głód was gryzie aż do krwi
gdzie zatrzaśnięto z głośnym hukiem
przed wami losu – ciężkie drzwi...

czekam dziś na was w chłodnych parkach
pustych alejach skutych lodem
gdzie się na ławkach niczym ptaki
kulicie osłabieni głodem...

czekam dziś na was w kątach życia
gdzie na was szczeka pies pogardy
bo kamień serca waszych bliźnich
okazał się być nazbyt twardy...

czekam was w bólu i strzykawkach
pokłutych rękach... chorej duszy
w długich rękawach związanej wolności
w schizofrenicznej białej głuszy...

czekam dziś na was zapłakana
aby nadzieję w was obudzić
przez łzy... co będą naszą gwiazdą...
kolęda... opuszczonych ludzi...!

za blaskiem

czekam dziś

kolęda troski

Kolędo! pochyl się nad bezbronnymi
którzy nie mogą obronić się sami
i mocno uderz w struny serca
tych co kierują naszymi sprawami
pukaj do okien ludzkich sumień
by nie zabrakło w nich tkiwości
rozpal na progu ciepły ogień
Dobra Nadziei i Miłości...

i pochyl się nad cierpiącymi
uchyl przed nimi nieba bramę
aby nadzieją jak bandażem
mogli ukoić serca ranę

Kolędo! co jak biały śnieg
otulasz wszystko dookoła
z biało-czerwoną nutką stań
przy wigilijnych naszych stołach

i podaj ten radosny ton
jak ufne wyciągnięcie dłoni
anioł potrąca serca gwiazd
i ponad światem głośno dzwoni

Kolędo! pochyl się nad polskim domem
niechaj ucichną głupie spory
i niech się prawem stanie Bog
na zawsze pierwszy od tej pory

Kolędo! pochyl się nad bezbronnymi
którzy nie mogą obronić się sami
i mocno uderz w struny serca
tych co kierują naszymi sprawami

kolęda próby

jest

przy żłobie stanie smutny osioł
i wół co tyrał cały rok
i anioł w białej sukni śniegu
z gwiazdą by płoszyć chłodny mrok

przyjdą do żłobka król i pasterz
ten który dzielił ten co brał
ten co zasłużył na Twój uśmiech
i przez którego drugi łkał...

przyjdzie zobaczyć Ciebie wielu
aby zrozumieć życia cud
aby zobaczyć jak miłością
można roztopić serca lód

i będziesz do nas wracał ciągle
kruchy rzucony w zimny żłób
bo nasze wobec Ciebie czyny
są wciąż kolejną z trudnych prób...

A G D

przy żłobku...
przyjdą do...

przyjdzie

nim zapłacze Bóg

jest

cisza...
milczenie...
sarny ślad
zima znów skuwa
ziemię lodem
niosę nadzieję
serca trud
aby nie wiało
ludzkim chłodem

świerki
i góry
otchłań nieba
kościółek skryty
w leśnym mroku
i wokół ślady
naszych stóp
ufna modlitwa
ludzkich tropów

i krok
za krokiem
tysiąc ścieżek
aby zaufać komu
i aby zdążyć
nim zapłacze Bóg!
w stajence
naszych
domów

za nami
dramat
trudny rok
ostatnie
pożegnania

rozkładasz ręce
ranny ptak
na krzyżu
powitania

wigilia
powrót
sens miłości
za uświęconym
stołem
za oknem biały
anioł zimy
toczy widnokrąg
kołem

przez grudzień
i zimowy
mrok
przez nasze
wszystkie
lata
Jezus! podnosi
małą dłoń
ponad szaleństwem
świata!

pod Gwiazdą Nadziei

jest

i znów w tę zimę będzie Jezus cichy
leżał bezdomny w wyziębionym złocie
a my staniemy pod Gwiazdą Nadziei
w tę noc przyjaźniej schyleni ku sobie

przyjdą pasterze naszych niepokojów
strudzeni życiem – pochyleni bólem
z najdalszych ścieżek wypogodzić twarze
z radosnym Ave! przykleknąć przed krolem

i znów w tę zimę będzie Jezus cichy
słał nam pogodne ufne przykazanie
ze to co ziemskim jest w życiu ubóstwem
bogactwem będzie gdy wieczność nastanie...

Kolędy, 1994

Handwritten musical notation for the song "pod Gwiazdą Nadziei". The notation is written in blue ink on a white background. It consists of three staves of music. The first staff begins with a treble clef, a key signature of one sharp (F#), and a 4/4 time signature. The second staff continues the melody. The third staff begins with a treble clef, a key signature of one sharp (F#), and the word "an" written above the staff. Below the third staff, the word "i znów" is written. The notation includes various note values, rests, and bar lines.

kolęda oczekiwania

za zboczem Kubalonki
znad granatu lasu
płynie wielki księżyc
w oceanie czasu

wiosłuje promieniem
w srebrzystej otchłani
wielki żagiel Beskidów
stawia noc z Baraniej

Złoty Groń dziś biały
i pokryty śniegiem
pola pozszywane
lodu srebrnym ściegiem

góry obok siedzą
przy białym obrusie
i mruczą kolędę
o małym Jezusie

kościół w białej czapie
razem z nami czeka
by Boga powitać
w postaci człowieka

betlejemska gwiazda
ponad lasem spada
o północy sarna
ludzkim głosem gada

wszyscy pójdą potem
życia serpentyną
by dzielić się wspólnie
radosną nowiną...

Kolędy, 1994

jest

kolęda pojednania

tak nam trzeba Wigilii
w życia ciemnej nocy
byśmy mogli znowu
spojrzeć sobie w oczy

mogli podać ręce
w geście pojednania
połączyć miłością
to co do kochania

znowu biel zszyjemy
z czerwienią w sztandarze
podniesiemy wysoko
symbol naszych marzeń

gdy jeszcze zdyszani
z różnych kątów świata
w geście pojednania
będziemy się bratać

i ciasno splełamy
z kolędą mazura
gdy Gwiazda Nadziei
zapłonie nam w chmurach...

22
27

Kolędy, 1994

tak nam
mogli podać

to co do kochania
symbol

symbol

kolęda „Wesela”

chochoł ten z „Wesela”
dziś do okna puka
każdy wie co znaczy
dla nas ta nauka

w śniegu białej czapie
w krakowskiej sukmanie
czapką śnieg zamiata
zanim w sieni stanie

a to co tak błyszczy
co wrócił nam Bóg
to zgubiony kiedyś
Jaśka Złoty Róg

gdzieś polska kapela
zanosi się łkaniem
bo łzami wesela
w nas kolędowanie

żeśmy się ocknęli
i z sennego koła
idziemy gromadą
gdzie nas wolność woła!

Kolędy, 1994

chochoł ten -
w śniegu...

o ten ciotek bójczy

kołęda ciszy

✓ jest

przedmiot się każdy okrył zamysleniem
znow rzuca pióro bezsilny i słaby
lęk obok siada bezgłośnie i tkliwie
godziny ciekną przez brudne sylaby

grudzien się słońcem nisko w lesie błąka
zdziwione sarny przystają wpoł kroku
świerki mrocznieją w srebrzystej kąpieli
lęk po kołędzie chodzi tego roku...

przy stole widmo przed pustym talerzem
dzwoni o krawędź obudzonym nozem
dla nich opłatek biały w kratkach krzyży
okrucz pamięci... ciszy kwiat położe

Handwritten musical score for 'kołęda ciszy'. The score is written on four staves in G major (one sharp). The lyrics are written below the notes. The music consists of rhythmic patterns of vertical lines and stems, with some notes indicated by circles. The lyrics are: 'brudne sylaby / przedmiot / w krzyżach / roku - / e a / przedmiot / godzin / lęk obok'. The title 'kołęda ciszy' is written vertically on the left side. The date 'Kołędy, 1994' is written at the bottom right. There are handwritten annotations: '2x' next to the second line of lyrics, and 'c a a' above the fourth line. A large bracket on the right side groups the last two lines of lyrics.

zimowa modlitwa

niebo w zaspach się tarza wszystkimi gwiazdami
świerki strzeliście wmodlone w nieba ciemną powałę
stoją niczym ogromne gotyckie katedry
wpisując w krajobraz Beskidów dzieła Twego chwałę

góry jak białe konie biegną widnokregiem
poprzez siodła przełęczy z burą grzywą chmur
w dali dzwoni srebrzyście lodowy ornament
gdy wstrząsa białym płaszczem zimowy Bóg gór

Beskidy – moje białe zimowe modlitwy
takie miejsca gdzie nigdy nikt mi nie wygraża
gdy przynoszę pęknięte kołysane wiatrem
moje serce – kłęczące w lodowych ołtarzach...

Dom na przełęczy, 1991

The image shows a handwritten musical score on a page. On the left side, there are two staves of music. The top staff is a vocal line with lyrics written below it. The bottom staff is a piano accompaniment. The lyrics are: "niebo w zaspach się tarza wszystkimi gwiazdami / świerki strzeliście wmodlone w nieba ciemną powałę / stoją niczym ogromne gotyckie katedry / wpisując w krajobraz Beskidów dzieła Twego chwałę / góry jak białe konie biegną widnokregiem / poprzez siodła przełęczy z burą grzywą chmur / w dali dzwoni srebrzyście lodowy ornament / gdy wstrząsa białym płaszczem zimowy Bóg gór / Beskidy – moje białe zimowe modlitwy / takie miejsca gdzie nigdy nikt mi nie wygraża / gdy przynoszę pęknięte kołysane wiatrem / moje serce – kłęczące w lodowych ołtarzach...". There are some handwritten notes in blue ink, including "góry jak" and "niebo". The page number "52" is at the bottom.

w tę noc niech Jezus nie płacze.

jest

Biały Opłatek Pokoju!
ciepła iskierko czułości
dzisiaj zostanie z tymi
którym zabrakło miłości

obok samotnych dzieci
i rozpaczonych matek
przelamcie z nimi serca
czuły świąteczny opłatek

usiadźcie na zimnym peronie
weźcie ich drżące dłonie
a łzy co płyną im z oczu
zamienicie w gorący płomień

przywróćcie iskrę nadziei
tym których zżera wątplenie
gdy Bóg się rodzi w ten wieczor
wzruszają się nawet kamienie

przyjmijcie tych co w tułaczkiej
tragicznej są dzisiaj podróży
rzuceni za burtę Europy
czekają na koniec burzy

a zagrożonych na aids
spłątanych okrutnym nałogiem
zaproszcie by stali z nami
a nie w pogardzie przed progiem

by każdy był dobry jak chleb
gdy głodni nas będą czekali
w stajence naszego serca
niech płomień miłości się pali

jak w życiu Brata Alberta
kiedy w zaułkach nędzarzy
zobaczył Boga w człowieku
w jego cierpiącej twarzy

i odtąd służył Mu wiernie
modlitwą chleba i słowa
idąc za swoim Bogiem
przez wszystkie przytułki Krakowa

byśmy nie biegli na Zachód
tropem łatwego dolara
by w gwieździe naszego trudu
ojczysty dom nam ocalał

gdzie każdy ma swoje miejsce
w którym przy ogniu matka
z cierni zmęczonej dłoni
podaje nam Hostię oplatka

a Chochół naszych nadziei
spętany ciągle niemocą
niech wreszcie zakwitnie wolnością
z Twoją nasz Boże pomocą

i wstrząśnie zbudzonym krajem
i zagra pod każdym progiem
gdy w Noc Wigilijną ruszy
z kolędy złożonym rogiem

byśmy umieli w przyszłości
w gwarze wiecznych pacierzy
w sens rozmowy z Jezusem
tak jak i dzisiaj uwierzyć

i zawsze mogli być wierni
idei Polaka – Papieża
co sercem jak dzwon Zygmunta
rytm naszych czasów odmierza



Biały Opłatku Pogody!
ciepły płomyku miłości
w tę noc niech Jezus nie płacze
z braku naszej czułości

bo kiedy pełni pokoju
siądziemy do wspólnej wieszery
zapłonie nad naszym domem
Gwiazda! co wiodła pasterzy...!

Kolędy, 1994

Bóg rozstrzygnie

(zamiast wstępu)

pójdę wyższy ponad swój ból
ponad kłamstwo naszego świata
Bóg rozstrzygnie co było ziarnem
gdy przesieje minione lata...

każdy w życiu ma swoją wieczerzę
i swojego przy stole Judasza
Bóg rozstrzygnie o winie i karze
gdy wybije godzina nasza...

moją siłą jest moja wiara
i codzienne z sumieniem rozmowy
Bóg rozstrzygnie co pozostanie
z zakłamej podstępnej mowy...

drogowskazy szatan przewraca
wkłada maski i nowe przebrania
Bóg rozstrzygnie co było warte
ponad życie w życiu kochania...

co zostanie z pozorów i dymu
kiedy anioł skrzydłami powieje
Bóg rozstrzygnie na progu nieba
gdy dopalą się nasze dzieje...

pójdę śladem Wielkiego Pielgrzyma
od Wadowic polskimi drogami
Bóg rozstrzygnie o losie wrogów
co kamienie rzucają za nami...

Dopokąd idę..., 1995

Ojcze nasz

OJCZE NASZ...

z troskany i czuły
cierpliwy i spadający jak piorun
wszechmogący i miłosierny
nieogarniony i bliski

Który wywiodłeś tyle pokoleń
z mroków wszechświata

Który przez tysiąclecia świecisz

Wielką Gwiazdą Miłości

KTÓRY JESTEŚ W NIEBIE...

i cierpliwie pamiętasz o żywych kamieniach

do Ktorego tak tęsknimy

w chwilach najcięższej próby

i Który widzisz naszą rozpaczliwą szamotaninę

w tłumie natrętnych hasel i fałszywych proroków

ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE...

w każdym naszym sercu

bo za wiele w nim ciemnych zaułków

i mrocznych kątów

PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE...

do każdego naszego sumienia

bo coraz więcej bożków przy naszych drogach

bo coraz więcej krwi w ukrzyżowanej Jugosławii

bo coraz chłodniejszy wiatr ze wschodu

BĄDŹ WOLA TWOJA...

bo Ty jesteś Panem Nieba i Ziemi

JAKO W NIEBIE...

gdzie wszystko jest Dobrem Miłością i Harmonią

gdzie wszyscy jak słoneczniki

odwracają twarze ku słońcu Twojego oblicza

TAK I NA ZIEMI

gdzie nie potrafimy iść

za Bratem Albertem

Matką Teresą

Księdzem Jerzym
kompasem Dekalogu
płaczem Ojczyzny
głosem PIELGRZYMA
bo splątane skrzyżowania
oddalają nas od Ciebie
bo coraz częściej ulegamy
słodkiej niewoli zła
CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO...
w tyłu odmianach
na śmietnikach
pod murami kościołów
w kanałach
w żebraczych marzeniach
zimnych dworcach
w Afryce
Azji
Ameryce
Europie
Antypodach...
DAJ NAM DZISIAJ...
bo nie wszystkim go starcza
od sąsiadów z naszej klatki
po nieujawnione obozy i łagry
po ludzkie wióry w Etiopii czy Somalii
bo dzielimy go fałszywą miarą
naszych ślepych łokci
I ODPUŚĆ NAM NASZE WINY...
które rosną w nas nieustępliwie jak trawa
które pokrętnie usprawiedliwiamy
w imię psychicznej higieny
niejedną krwawą doktryną
wyższości rasowej
szowinizmu
świętej wojny
niejedną podstępną filozofią pelzającą
jak gad wokół naszego serca
JAKO I MY ODPUSZCZAMY

NASZYM WINOWAJCOM...

według diabelskiej miary:

„oko za oko – ząb za ząb”

I NIE WÓDZ NAS NA POKUSZENIE...

na wysokiej skale pychy

falszywym blaskiem

podstępными wzorami

fatamorganą hedonizmu

ALE NAS ZBAW OD ZŁEGO..

które cieknie z obnażonych zębów węża

które jest jak perz

na zaniedbanym ugorze naszego serca...

AMEN!

Dopokąd idę..., 1995

niebieska drabina

Ojcu Świętemu – najserdeczniej

tu zbudujemy drabinę do nieba
z naszej modlitwy wysokiej jak gronie
bo tu w tym miejscu Ojciec naszej wiary
podnosił w niebo jak monstrancję dłonie

tu zbudujemy drabinę do nieba
z zielonych świerków z beskidzkich ołtarzy
gdzie wiatr przesuwając niewidzialną ręką
barwną mozaikę niebieskich witraży

tu zbudujemy drabinę do nieba
którą pójdziemy na spotkanie Boga
bo pamiętamy że tym groniem chodził
pełen miłości po ojczyzny drogach

tu zbudujemy drabinę do nieba
gdy świat jak w studnię zapadnie się w mroku
ona nam będzie świecić gwiazdnym szlakiem
aby ocalać każdy z naszych ludzkich kroków...

1996

wśród Wawelskiej Katedry

Ojczy Święty! ten cień obok Ciebie
który czuwa w różach i cierniach
kiedy idziesz do blasku prawdy
to jest Polska...! zawsze Ci wierna

ewangelia świeci jak słońce
gdy podnosisz w górę jej słowa
oto Słowo stało się Ciałem...
w starych murach Twojego Krakowa

oto z wieszczów przeczucia i wiary
dumnych wieków i Bożych znaków
wśród wawelskiej katedry dziś dzwoni
Twoje imię – pierwszego z Polaków!

Dopokąd idę..., 1995

bądź pozdrowiony

Zasłuchaj nam

bądź pozdrowiony! znowu jesteś w domu
jeszcze na ścianach Twoje błędzą cienie
i w krzyżach okien w wadowickiej izbie
szept czuły płoszy po kątach milczenie

góry z radością pochylają grzbiety
zobacz! Beskidy jak dawniej zielone
czekają kiedy pójdziesz znowu szlakiem
wyżej... i wyżej... nad groni koronę...

świerki o które opierałeś rękę
wyrośli teraz smukłe aż pod chmury
a ludzie mówią że od tamtej pory
łaskawiej patrzy Bóg na nasze góry

są nawet tacy co widzieli miejsca
takie gdzie świecą przydrożne kamienie
odtąd turyści noszą górskim szlakiem
po tamtych śladach wymowne milczenie

i szept modlitwy wpleciony w przyrodę
w strumieni szelest w bukowe witraże
w świerkowy ołtarz z zielonych koronek
co odpowiada nam w góralskiej gwarze

bądź pozdrowiony! znowu jesteś w domu
każdy zakątek tęskni tu za Tobą
i już kamienie dawno o tym mówią
że Tyś! największą tej ziemi ozdobą!

Dopokąd idę..., 1995

wizyta

popatrz! i przyszedł...
do twojej celi
taka jest siła
EWANGELII

by z twego serca
zjąc grzechu kamien
by z ciebie zmazac
zbrodnicze znamię

popatrz! przez Niego
Duch Święty wieje
On ci przez kratę
przyniósł nadzieję

Twoja ofiara
przebacza tobie
Bog ciągle wstaje
w otwartym grobie

popatrz! i przyszedł
jak biały anioł
co w mroku celi
przy Tobie stanął

abys zrozumiał
w nieszczęściu swoim
ze na miłości
tylko swiat stoi...

Dopokąd idę ... 1995

Czerwone Morze

w
Londynie
Brukseli
Paryżu
Berlinie
mówią
Konserwatysta
sypie
piach
w
sumienie
i zgrzyta
sumienie
świata
nie
trawi
groźnej
przestrogi
świat
szuka
innej
nowej
i
przyjemniejszej
drogi
lecz
za
Nim
mój
Naród
ufnie
przechodzi
w imię
Boże

drogą
przez
zywiol
swiata
jak
przez
Czerwone
Morze...

Dopokąd idę..., 1995

sygnaturka

gdy węzły wiary
świat rozchwieje
ty nam przynosisz
Wiarę i Nadzieję

sygnaturko sumienia!
nieustannie dzwoń
tylko Miłość i Prawda
to jest nasza broń

gdy drogowskaz życia
kłamstwa wiatr powali
ty nas będziesz wołać
ufnością z oddali

pójdziemy twoim śladem
aby spotkać Boga
poprzez ogień i góry
po nieznanym drogach

poprzez śnieg i morze
twój głos do nas zmierza
sygnaturko sumienia!
w naukach Papieża...

Dopokąd idę..., 1995

Grabarka

to za tą górą co obrasta w pamięć
i gdzie wieczności zaczyna się próg
to za tą rzeką ludzkiego cierpienia
za lasem krzyży mieszka dobry Bóg

ta dziwna góra obrosła modlitwą
cierniowym losem oraz ludzkim płaczem
niesie na grzbiecie wielki symbol wiary
pełen przedziwnych znaków oraz znaczeń

miejsce skąd widać za rozpaczą niebo
bezsilność kłamców i potęgę zła
gora – gdzie klęczy narodowa pamięć
i gdzie niewoli łańcuch zżera rdza

gdzie Ojciec Święty – Biały Ptak wśród cierni
dźwigał tę górę niczym hostię chleba
by świat zobaczył że przez drogę krzyża
wiedzie najkrótsza dziś droga do nieba...

Dopokąd idę..., 1995

**gdy się uporasz już
z szaleństwem świata**

gdy się uporasz już z szaleństwem świata
co nas przeraża o każdej godzinie
siadaj w najbliższy samolot do kraju
byś mógł odpocząć na swojej dziedzinie

Castel Gandolfo na pewno jest piękne
i Rzym odwieczny z bogatą ulicą
ale w Beskidach Ojciec Święty czeka
mała kapliczka pachnąca żywicą...

i Frasośliwy szerniał z tęsknoty
ciągle spogląda w drogi zaplątane
bo wciąż pamięta wielki żar modlitwy
którą goiłeś Jego krwawe rany

i gdzie Madonna Beskidzka splekana
wciąż twarz stroskaną ku drodze odwraca
gdy się uporasz już z szaleństwem świata
to Ojciec Święty do domu powracaj...

Dopokąd idę..., 1995

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

z krakowskich natchnień z kolebki polskości
gdzie tyle cudów nosi Twe imiona
z czułości lipy co szumiała w niebo...

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

stąd gdzie wybrałaś Papieża Polaka
by nas nie zżarła zaraza czerwona
boś pamiętała o naszej wierności...

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

dzisiaj prosimy Cię w wisłanski dom
z modlitwy naszej czuła antyfona
i Twego ciepła tylko nam potrzeba

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

bo tu pragniemy Twej matczynej mocy
i Twoja nam niezbędna przed kłamstwem obrona
bo jak bez Matki mamy dalej żyć...?

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

gdzie jest zbłąkanych tyle ludzkich serc
Ty! możesz jedna jad węża pokonać
kiedy podnosi wśród nas grozny łeb...

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

i gdzie pragniemy ciepła polskich słów
bo mowa Ojców naszych obcym zagrożona
Królowo Wyznawców! i Matko Kościoła!

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

zamieszkać w domu pod Baranią Górą
gdzie las świerkowy w wysmukłych koronach
będzie wciąż śpiewał Tobie z nami pieśń...

u źródeł Wisły bądź błogosławiona!

Dopokąd idę..., 1995

ptaki

kiedy z północy lecą ptaki
z Krainy Wierzb... znad Jasnej Góry...
On sam jak wielki ptak z balkonu
któremu stopy wrosły w mury

i skrzydła białe wciąż prostuje
i miasto wieczne w górę wznosi
kiedy codziennie ponad tłumem
o Jej opiekę ufnie prosi

kiedy z północy lecą ptaki
znad rodła Wisły... znad Krakowa
to otwierają kluczem pamięć
w której jak w skarbcu Polskę chowa

kiedy z północy lecą ptaki
z obrazem smukłych wież Klasztoru
On je prowadzi tęsknym wzrokiem
poprzez gasnący cień wieczoru

i widzi Matki twarz ściemniałą
co z blasku świec na Niego woła
co Mu pomaga dźwigać ciężki
i zawierzony gmach Kościoła

kiedy z północy lecą ptaki
do okna szybko cień się zbliża
i tych pielgrzymów ponad Rzymem
On zegna wielkim znakiem krzyża...

Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć. 1991

list do Ojca Świętego

Ojcie Święty!

wstydzę się
że dotąd nie pojęliśmy
wielkiego cudu zmartwychwstania
że grzebiemy ręką nieufności
w otwartym boku Kościoła
że zachowujemy się jak Judasz
dzwoniąc srebrnikami pocałunków
że nie podziękowaliśmy dotąd za wolność
która płacze na śmiertelnym szlaku zniewolenia
która w okaleczonym języku
modli się o powrót Ojczyzny
i umiera z tęsknoty w dalekim Kraju Kaina
która zapada się grobami niepamięci
w tyłu kątach świata
że
w Sejmie i w Senacie zamiast Skargi i Rejtana
warcholi się czerwona targowica
że
Matka Polka nad synem nie płacze
skrywając godność za prawa sobacze
a długie nocne Polaków rozmowy
są jak milczący krzyż Chrystusowy!

Dopokąd idę..., 1995

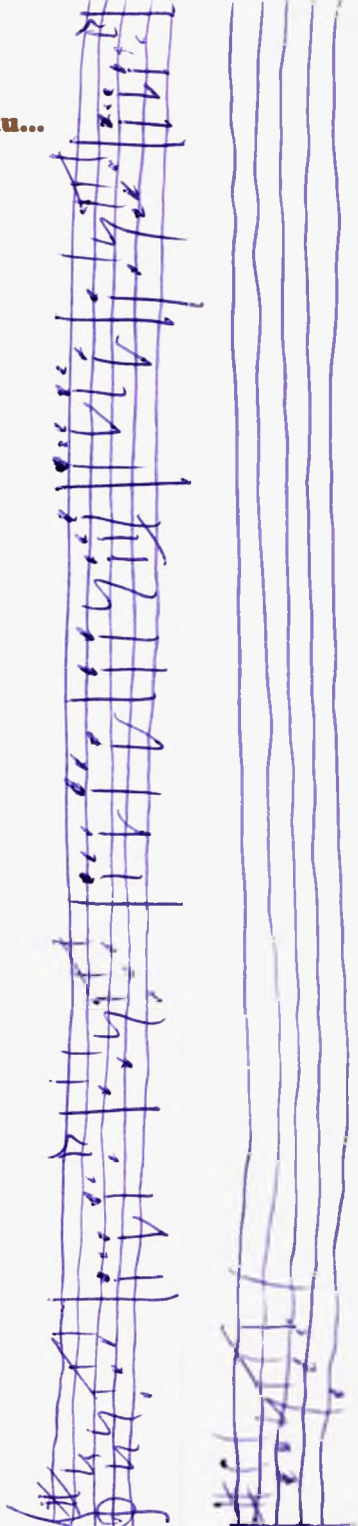
w kaplicy na beskidzkim groniu...

i płynie obłok za obłokiem
cienie klękają tuż za groniem
w kaplicy Wielki Utrudzony
rękami obejmuje skronie

świat pełen pychy i pogardy
niczym szalony igra z Bogiem
a tu w Beskidach wielki spokój
siedzi na groniu tuż za progiem

niebo się pali krwawą luną
wieczór z plecakiem idzie z dolin
Ojcie! my wiemy jak dotkliwie
cierń co masz w sercu Ciebie boli

świerki wtulone w mrok wieczoru
wielka harmonia ziemi z niebem
w kaplicy na beskidzkim groniu
modlitwą wspomagamy Ciebie...



jeśli chcesz...

jeśli chcesz ze mnie zrobić białą laskę Panie!
to zostanę pokorny i pełen ufności
to pójdę przed innymi dotykając prawdy
i kłamstwa co się czai zdradą wśród ciemności

to stanę tą przestrogą przed ostatnim krokiem
która chroni przed upadkiem za krawędź rozpaczy
to będę tym werbelkiem który czujność budzi
kiedy drogę przez ciemność trwożnym dźwiękiem znaczy

jeśli chcesz ze mnie zrobić serce sygnaturki
to daj mi moc żelazną i spiżowe łkanie
bym mógł w imieniu Twoim do życia obudzić
tych co w piersiach dźwigają kłamstwa ciężki kamień

Tędy szedł Chrystus, 1992

w Twoim boku

Panie! już świeca moja gasnie
i coraz więcej cieni wokół
liczę przeżyte dotąd lata
nim się pogrążę cały w mroku

szedłem do Ciebie w ufnym trudzie
błądziłem i wracałem z bólem
Tys! zawsze stał jak płomień jasny
by mnie przytulić w płaczu czule

uczyłem się miłości długo
nim zrozumiałem Twą ofiarę
zostawić chciałbym ziarno prawdy
i Słowo – by się stało Ciałem!

i to przesłanie z konca wieku
wysnute życiem z jądra mroku
ze sensem pozostaje tylko
Prawda – co krwawi w Twoim boku...

1996

Bóg

z tej perspektywy skąd wiecznie wszystko się oddala
kiedy głowę odwróce i popatrzę w tył
to co było tak wielkie że nas przerastało
teraz staje się małe... i ginie jak pył...

ból zarasta bliznami – klęczą z płaczem krzyże
łzy kruszeją w pomnikach – największych cmentarzach
gwiazdy gasną jak świece zdmuchnięte oddechem
kiedy groźne memento czas nam rzeźbi w twarzach

z tego miejsca skąd wiecznie wszystko się oddala
gdzie umierają z wysiłku zmęczone zegary
gdzie przestrzeń nas przerasta ponad ludzką miarę
On tylko się przybliży poprzez płomień wiary

On tylko w moim życiu ciągle ogromnieje
a czas – taki potężny – leży Mu u nóg
im bardziej jestem bliski lotnej garści piachu
tym większy w moim życiu Wszechmogący Bóg!

Zielona parafia, 1994

próg

Panie! tak biegłem ciemnym lasem
i twarz i ręce całe w krwi
zapal przede mną małe światło
uchyl w ciemnościach nieba drzwi...

świat biegnie za mną krwawym tropem
na plecach czuję ból pogoni
nieważne strzępy mego ciała
bylebym dobiegł do Twych dłoni

bylem ocalił serca wiarę
zanim upadnę u Twych nóg
Boże! czy to co pod nogami
to już jest nieba zbawczy próg...?!

Zielona paraża, 1994

Bóg i popiół

człowiek jest wielką tajemnicą
nieodgadniona jego skala
grzebię w popiele mego serca
i nagle ogień się zapala...!

i nagle widzę Bóg z uśmiechem
odgarnia dłonią pył jałowy
i rozsypuje go garściami
na nasze opuszczone głowy

i z tej szarzyny... z tego prochu
dźwiga w nas myśl jak jasny płomień
Boże! całuję pełen winy
Twoje od cudów pełne dłonie...

Zielona parafia, 1994

pozwól mi...

pozwól mi jeszcze świecić w mroku piórem
być Twym żołnierzem uzbrojonym w Słowo
co idzie w pierwszym Twoim szeregu
ku słońcu Prawdy z podniesioną głową

gdy tak nam trudno zaufać miłości
bo świat nas mami – rani i ubliża
bo tak nam trudno przez Golgotę życia
iść za kompasem – cierpienia i krzyża

pozwól mi Panie! świecić w mroku piórem
kiedy zwątpimy w Nadziei i Wierze
bo chciałbym wtedy pozostać ostatnim
co się nie poddał – walczącym żołnierzem!

Tędy szedł Chrystus, 1992

pojednanie

łopoczesz cieniem wśród łuków kościoła
skurczeni knotem klęczymy przed Tobą
tyle w nas światła ile Twojej łaski
co płomienieje ponad naszą głową

w monstrancji świeci Hostia Twego Ciała
jesteś tak blisko że świece się chwieją
kiedy podchodzę do stołu ołtarza
dźwignięty z grzechu przez Ciebie nadzieją

trwasz zamyślony w cieniach i załomach
w twarzach ukrytych w wielu ludzkich rękach
i pod krzyżami co znosimy tutaj
w bólu... obawie... rozpacz... i lękach...

stąd przez szczelinę patrzymy na Ciebie
gdy z nami dzielisz chwilę pojednania
tu nasze krzyże zmieniają się w skrzydła
gdy tajemnicę miłości odsłaniasz

Tędy szedł Chrystus, 1992

opłatek cudownego chleba

a my nad chlebem niczym śępy
bo to powszednie nasze bytowanie
i nasze winy nieodpuszczone
i grzechu w nas oślizły kamień

chleba naszego powszedniego
już nie dzielimy w imię Boże
zegar sumienia już nie dzwoni
od złego zbawić nas nie może

a Chrystus przecież mieszka w chlebie
gdy chleb się zmienia w Jego ciało
jakże okrutne nasze życie
gdyby w nas serce nie zadrżało

konfesjonału Wielka Brama
stoi otworem wprost do nieba
słyszę jak Bóg o serce puka
Opłatkiem Cudownego Chleba!

Eucharystia

dzwonki
organy
śpiew
i...
cisza
w
stallach
wysoko
echo
dzwoni
Bóg
zmienia
wino
w
krew
Chrystusa
i
kapłan
wznosi
Boga
w
dłoni

cicho
podchodzę
do
ołtarza
i
patrzę
z
drżeniem
na
ten
cud

wybacz
mi
Boże!
bo
ma
wiara
to
jest
ludzkiego
serca
trud

dzwonki
organy
śpiew
i...
cisza
w
sklepieniach
słychać
drżące
amen
idę
do
Ciebie
Dobry
Boże!
z
radością
ze
przed
Tobą
stanę...

sumienie

dwaj kilkunastoletni chłopcy
zakatowali rozbitą butelką
niewinnego człowieka...

 drugi przeżył...
choć na jego twarzy
do końca życia pozostanie ślad
kilkudziesięciu szwów
i
lęk przed okrucieństwem bliźniego
 jeden z nich
 dotrzymał słowa i...
 wygrał zakład!

rano

poszedł do kościoła
i stał twarzą w twarz
z Najwyższym Bogiem!
– wino zmieniało się w krew...
– chleb w ciało Chrystusa...
– przed konfesjonałem stało sumienie
ze zwieszoną nisko głową
z nieludzką twarzą
ukrytą
w zakrwawionych
rękach...

w kościele

przyszli do kościoła by ubliżać Bogu
a On słuchał cierpliwie – cichy zatroskany
tyle razy już przeżył szyderstwa i drwiny
że pozwolił im jątrzyć niezgojone rany

buciorami tupali na progu sumienia
pewni że im do twarzy z pychą i pogardą
i błotem pokrywali obrusy ołtarza
i patrzyli w oczy Bogu – bezczelnie i hardo

a On oddech wstrzymywał – wielki zatroskany
i choć cierpiał to czekał dobry i łagodny
i na nich co z pięściami przed ołtarzem stali
patrzył przez płomień świecy czuły i łagodny...

Tędy szedł Chrystus, 1992

jak płomień

Panie! są chwile w życiu że tak blisko stoisz
oczami łez pełnymi raduję się Tobą
czuję wówczas jak rękę na czoło mi kładziesz
i światła ciepłą falą wypełniasz mnie sobą

i idę po tej fali z radością do Ciebie
bo wiem że cudem Panie nagradzasz mą wiarę
bo mogłem przecież teraz tłuc głową o ścianę
gdybyś zamiast nagrody wymierzał mi karę

mógłbym tonąć z kamieniem ciężkiego sumienia
wyszadzony przez bliźnich dla głupiej siwizny
są w życiu Panie chwile że tak blisko stoisz
jak płomień... co zostawia na pamiątkę blizny...

Tędy szedł Chrystus, 1992

a może...

a może źle się modłę... głupi zadufany...
mierzący boskie sprawy ułomnym rozumem
może Panie pozwalasz pobłażliwym gestem
karmić głupiego serca zwyrodniałą dumę

i patrzysz pobłażliwie ze swojej oddali
na naszych ciał klepsydry pełne wrzącej krwi
odwracane niczym karty na zbudzonym wietrze
kiedy marszczysz niecierpliwie w zamysleniu brwi

a może źle się modłę... wlatujący proch
co Ci wpada niekiedy zuchwale w zrenice
a Ty Panie! upuszczasz jeszcze jedną łzę
która bywa jak morze kołyszące życie...

Tędy szedł Chrystus, 1992

dystans

a jeśli kiedyś wyschną wszystkie źródła we mnie
i będę jak pustynia niezdolny do bycia
to zostaw chociaż jeden suchy krzew cierniowy
na dowód że to miejsce było pełne życia...

że był tu kiedyś ogród zielonej nadziei
i źródło w nim śpiewało hymn ku Twojej chwale
że ptak podnosił radość na słonecznej strunie
że wiersze się rodziły i na twardej skale

którą teraz czas skruszył aby sypkim piachem
gdy wiek odwróci naczyn szemrzącą klepsydrę
odmierzała ów dystans pomiędzy datami
który Panie oznaczysz śmierci czarnym skrzydłem

Tędy szedł Chrystus, 1992

gdy już rozumiem

teraz gdy już rozumiem że życie jest bolem
ciągłą walką o prawo do nowej nadziei
proszę jeszcze o siły dla słabego serca
gdy zmęczone przystaje wśród życia zawiei

teraz gdy już poznałem że wybór jest walką
pomiędzy murem mroku i kłującym światłem
daj oczom obolałym jeszcze tyle siły
by w życiu odnalazły prawdy wąską kładkę

bo teraz gdy już bliżej do Ciebie niż dalej
gdy przeniosłem przez życie ciężki toboł wiary
dojrzec pozwól mi jeszcze w starczej bluzie ciała
to co składasz na wadze swej sędziowskiej miary

Tędy szedł Chrystus, 1992

ptak i owoc

chcę być Panie pokorny – wolę gorzką sławę
i Ty wybrałeś przecież nie kwiaty lecz ciernie
niech już cienie co dotąd strzegły mojej drogi
do końca idą za mną – cierpliwie i wiernie

nie chcę by moje z Tobą intymne rozmowy
ubierał ktoś w teorie – pochwały i względy
tyle razy błądziłem w ciemnym lesie mowy
a słowa były nieraz niczym dzikie pędy

które Ty przycinałeś w koronie mej wiary
by znowu wyrósł owoc dźwigniętego drzewa
by kiedyś w odrodzonej zielonej koronie
kos mojego serca ku Twej chwale śpiewał...

Tędy szedł Chrystus, 1992

będzie klęzcęć morze...

jak mi ciężko w takie chwile znaleźć w sobie siły
wiara jak nikły płomyk ginie w brudnym mroku
nienawisc ciężką łapę kładzie mi na sercu
i boję się ze dalej już nie zrobię kroku

ze daleko tak Panie burta Twojej łodzi
ze dotknąć jej nie zdołam przywalony falą
gwiazdy jasne co dotąd wyznaczały drogę
palą się w mojej głowie niezmierną dala

za którą widzę Ciebie zamglonym konturem
jak podnosisz latarnię miłosierdzia Boże!
po którym jak przez wąwóz będę biegł do Ciebie
gdy posłuszne Twojej woli klęzcęć będzie morze..

Tędy szedł Chrystus, 1992

dowód

wszystko co we mnie dobre zawdzięczam Ci Panie!
niech inni wciąż biegają za swoim dowodem
ja dowód już znalazłem gdy mi spadła z oczu
zasłona między świtem a krwawym zachodem

codziennie Cię znajduję każdym moim zmysłem
ogniem – wodą – powietrzem dotykasz mnie co dnia
i jestem Ciebie pełen gliniane naczynie
skorupa Ciebie pełna choć przecież niegodna

wszystko co we mnie ludzkie zawdzięczam Ci Panie!
okruch Twojego ciała – drobina Twej chwały
garść popiołu z dna której na dowód miłości
leż diamenty gdy zechcesz będą się sypały...

Tędy szedł Chrystus, 1992

proszę

nie karz mnie ciszą – zostaw chociaż słowa
by ciekły z rany serca piekącym strumieniem
przecież nie chcę być piachem sypanym przez palce
kamieniem który rodzi bolesne milczenie...

Panie! nie karz mnie ciszą – tą okrutną karą
gdy biłą oslepiony czekam pełen lęku
bo płynąć nie potrafię ku brzegom Nadziei
bo z zagła co wzdymałeś – tylko strzęp mam w ręku

Boże! nie karz mnie ciszą – co mnie tak przeraża
bym w sobie kiedy patrzę w samotne godziny
mógł zobaczyć w popiołach chociaż małą iskrę
co podpali i zniszczy wieczne drzewo winy...

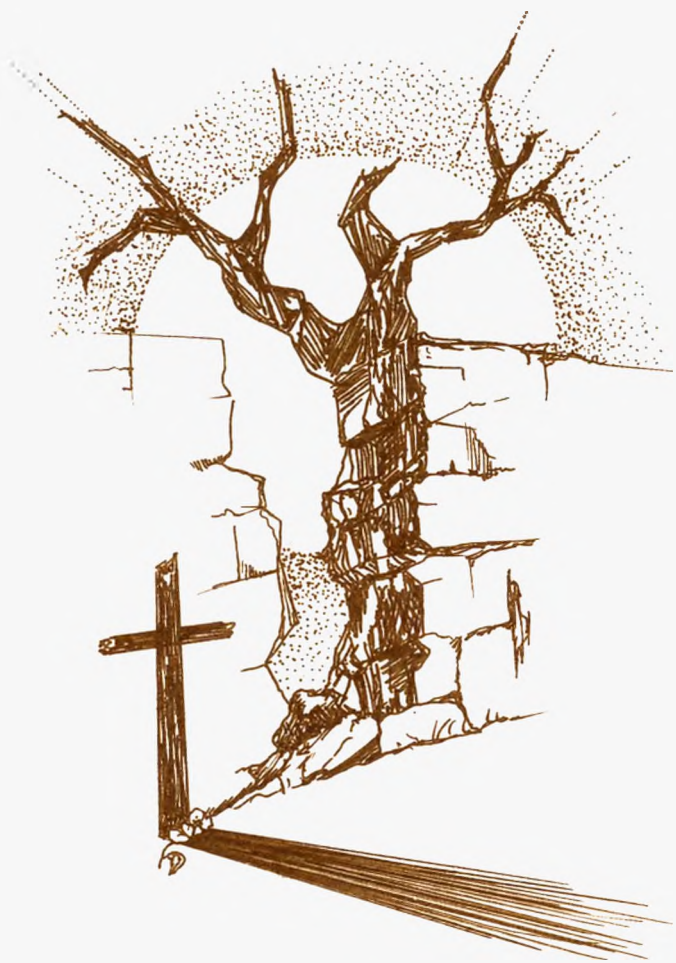
Tędy szedł Chrystus, 1992

**gdy Bóg
przestrzeli ciemność...**

i jesteś jak uparte drzewo
jak wielokrotny krzyż
który co roku dźwiga
swoje ramiona wzwyż

wrosły w sklepienie nieba
w witraży krwawych splot
gwiazdy upadłej smuga
która już kończy lot

wzgórek porosły trawą
który powstanie cieniem
gdy Bóg przestrzeli ciemność
myśli płomieniem!



teraz niech mówią znów kamienie

gdy...

gdy ludzie zdepczą ostatnią nadzieję
i nikt po ludzku mówić nie potrafi
to wracam wtedy serpentyną wiary
do mojej cichej Zielonej Parafii

gdy hałas świata całkiem mnie ogłuszy
i dość mam wrzasku skłóconych idei
to wracam szlakiem... znak... po znaku...
aby je złożyć w Dekalog Nadziei

a gdy już przejdę wszystkie swoje stacje
i moje serce w grzechu martwe stanie
jedynie tutaj po serdecznym żalu
Bóg mi pozwala znów na zmartwychwstanie!

Zielona parafia, 1994

testament

Ty mnie zabierz cicho do siebie
gdy mnie sztywno w ziemi ułożą
skibą ziemi okryj mnie żyzną
abym wyrósł osiką czy brzozą

połamany zużyty czas
będzie moim ostatnim posłaniem
gdy się zsypie dudniącą grudą
jak niewypał w ziemi zostanie

weź mnie zabierz tylko do siebie
zamień w barwy nadziei zielone
nie w pomniki tablice czy marmur
ale w malwy wysmukłe przed domem

w słoneczniki co jasne swe twarze
choćby nastał czas jeszcze surowy
będą zawsze wiedzione instynktem
obrały za ciepłem Twej mowy

potem serce zapal mi w makach
po ogródkach po wiejskich zagonach
połączone z bukietem stokrotek
niechaj tętni biało-czerwone...

po mokradłach mnie ułóż błękitem
tam gdzie wierzba zmęczona przystaje
i gdzie niebo zbierają dzieci
w ciasny bukiet niezapominajek

kaczeńcami rozrzuć mnie szcudrze
dmuchawcami niech srebrzy się głowa
będę wtedy modlił się cicho
wzdłuż strumieni szemrzący jak mowa

dzikie wino co zrosnie się z murem
z głębi ziemi wyrosnie ramieniem
co oplecie znajome me kąty
poplątanym i czułym milczeniem

czarny kruk kiedyś serce mi ranił
byłem mroczną legendą owiany
jesli Polsko... będziesz szczęśliwa
niech moj płacz będzie już zapomniany

więc mnie zabierz cicho do siebie
mszę żalobną mi zamów u kosów
niech zagwizdzą wysoko Twe imię
nie pragnąłem innego losu...

może jeszcze wysmużę się sino
gdzie lasami porosłe gór zbocze
przez doliny Beskidów i gronie
widnokręgu się kołem potoczę...

Żelona parafia, 1994

nad wami

a testament Wasz jeszcze nie jest wypełniony
bo zbyt wielu z nas dotąd żyje w dawnym brudzie
i na karkach zbyt miękkich jak na takie czasy
jeszcze głów nam nie dźwigać po skończonym trudzie

bo echo głośno tupie w pustych głuchych sercach
dawne – ciągle pilnują naszych lęków – zmory
westchnienie tylko łązi w cieniu sennych marzeń
jak po pustym teatrze upiór Wernyhory

pawie pióra – sukmany, złotych rogów granie
zła bezsenność co kuje głowy srebrną kulę
godziny mi wypełnia kiedy się pochylam
nad Wami – wpisanymi w me czuwanie bólem...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

po latach

nie wyjadę do Grecji – czy pod piramidy
do muzeów Europy nabierać ogłady
mnie zostaną zamglone polskie krajobrazy
i co wieczór z bliskimi odprawiane Dziady

trudna wierność – i ciągle grzebanie w pamięci
biedny Wieszczu marzący o zjadaczach chleba
zamienionych w anioły – niewielu nas jeszcze
da się rzucić na szaniec choć tego potrzeba

wierz mi – znudzony pieśnią lud nie pragnie czynu
burzy – również nie wietrzą żadne błyskawice
– siedzimy rozwaleni przy telewizorach
klaskaniem mając tylko obrzękłe zrenice

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

tryptyk Chopinowski

Wiesz, ile chciałem czuć, i po części doszedłem do uczucia naszej narodowej muzyki.

F. Chopin – *Listy*

I

wierzy Mu stały w chwili pożegnania
szeregiem długim zgarbione troskami
listopad palił chybotliwe świece
i wstążki czarne plótł między grobami

mizerny – mały – budził noc swym żalem
w drodze co wiodła po armaty w różach
i po przeczcucia co miały Mu Polskę
wrócić jak tęczę po powstańczych burzach

w tym wątlym ciele przez samotne noce
gdy los Go twardy do siebie przyzywał
jesień w bemolach i krzyżach płakała
bo okruc Polski najpiękniejszy skrywał...

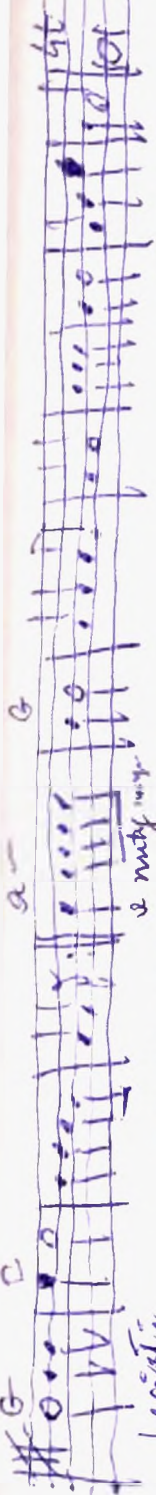
II

Fortepianowi gadam to, co bym tobie był nieraz powiedział.

Ledwie, że jeszcze pamiętam, jak w kraju śpiewają.

F. Chopin – *Listy*

i dłonią szczupłą jak skrzydło jaskółki
dźwigał Ojczyzny imię uświęcone
gdy z fortepianem gadał w długie noce
włóczęc przez klawisze swe serce zmęczone



i z niepokojem jak w kraju spiewają
w pospiechu ciągłym palony niemocą
w nokturnach pukał w białe krzyże okien
gdy przelatywał ponad krajem nocą

leciał i czarnym skrzydłem fortepianu
bił całą mocą w struny polskiej ciszy
a nuty niczym pióra skrwawione spadały
na chłodne czoła pobladyłych klawiszy...

III

*O pieśni gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi a młodszymi laty,
W tobie lud składa bron swego rycerza*

A. Mickiewicz

wierzę – że znowu w wierzbach Chopin ich obudzi
i wywiedzie z łopuchow Janka Muzykanta
i będzie Mu tłumaczył Ojczyznę na dźwięki
z pogodną – chociaż bladą – twarzą emigranta

i nad Wisłą usiądzie posród prostych ludzi
i zagrają w mazurkach – i basy – i smyki
i powrócą pod dachy jaskółki miłości
by nas wesprzeć w rozpacz modlitwą muzyki

oraz – że nas polonez powiedzie dostojny
krokami czułych tonów – poprzez polskie trudy
a kiedy trzeba będzie twardo stać na swoim
głosem rewolucyjnej grzmieć będzie etudy!

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

w Rydlówce

kiedyś patrzył z tego miejsca zamyślony
na wesele i Ojczyzny próchniejący próg
gdy się w tańcu nieprzytomnym zataczało
bo ktoś z chamów zgubił czynu Złoty Róg

i nam patrzeć – i nam widzieć to wesele
co zatacza się pijane tyle lat
w ten korowód co zabija zaplątani
w szybkim wirze uczepieni kruchych dat

kiedy wreszcie się wyrwiemy z tego płąsu
ciemnych wirów co nas ciągną w zatracenie
w brudzie tonie – gdzie wśród krwi i białych kości
przechodzimy dnem historii – jak kamienie...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

polska gwiazda

niech dyplomaci mają swoje racje
i argumenty ukryte w rękawie
ja będę głosił proste słowa
wbrew tym co paragrafem straszą nas w Warszawie

bo dziś historia leży na cmentarzach
gdzie się warstwami kładą pokolenia
tam odczytują gorzkie słowa prawdy
gdy czas je żłobi w nagrobnych kamieniach

a daty świecą nawet ciemną nocą
w garbatych krzyżach – w zardzewiałych datach
i pod Katyniem gdzie się nasi budzą
co wiosną w białych i czerwonych kwiatach

w brzożach płaczących kędy wschodzi słońce
gdy twarz odwracam w godzinie switania
gdzie przelatuje w kibitce pamięci
nasza nadzieja łańcuchem związana

niech dyplomaci mają swoje racje
i argumenty ukryte w rękawie
każdy z nas dzwiga choćby tego nie chciał
swojego życia ojczyzniany kamień

z których czas drogę układa przez wieki
po niej idziemy – po nas przejdą dzieci
drogą złożoną z tęskniących kamieni
nad którą Polska Gwiazda Bólu świeci...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

ktoś musi drzeć koszulę

już dosyć w naszych dziejach głupoty i zdrady
i bólu co sumienia nasze wstydem pali
bo tam gdzie umierają najczęściej marzenia
ktoś musi drzeć koszulę w Senatorskiej Sali

za którą naród czeka – blady i zmęczony
podparty w trudnej wierze frasobliwym Bogiem
i gniewnie się przygląda tym co obojętnie
zonglują ich spokojem nad rozchwianym progiem

za którym i ja stoję z kamieniami słowa
uderzam nimi gniewnie w gęstniejącej nocy
z nadzieją – że wykrzeszę iskrę co podpali
słomianego chochoła przeklętej niemocy...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

nie wyrzekajcie się...

nie wyrzekajcie się prawdziwej Polski
bo Oni Ją zlepiali krwią i potem
i wy jesteście kroplą tamtej krwi
Jej dziedzicami i Jej dalszym lotem

wolność to ciągły serca trud
i nieustanny szept sumienia
i czujna przy honorze straż
aby nie sprzedać Jej imienia

i nie wstydz się ze mniej błyskotek
nosi na sobie Polska szara
bo nie pozorów trzeba nam
gdy chwieje się w nas dawna wiara

nie wyrzekajcie się prawdziwej Polski
na żadnej z naszych trudnych dróg
niech nas prowadzi zawsze pewnie
ku Jej przyszłości – – – Bog!

znaki czasu

przecież nie ma w tym kraju
takiej zgrai tchórzy
aby klęskę wolności
ze szczekania wróżyć

choć niejedną karawanę
już odprowadzali
przecież dla Niej służyć nadal
chętni pozostali

choć nas błotem obrzucają
z wysokiej trybuny
w naszych sercach ciągle grają
Chopinowskie struny

wolność krzywa w nas jak wierzba
co dzień kaleczona
a królewskim znakiem czasu
cierniowa korona

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

Słowacki skłopotany

Słowacki skłopotany bawi Pana Boga
rozmową o narodzie w srodku Europy
ktory jeszcze nie podniósł schylonego karku
i nie zrzucił hanbiącej i gniołącej stopy

bo w zjadaczach chleba co mieli w anioły
przemienić się – nie bije jeszcze serce Twoje
a u ramion – to nie skrzydła wyrastają mocne
ale żyły jak powrozy – jak dzikie powoje

które wiążą nam ramiona – oplątują nogi
a więc podnieś Panie Boże! mój naród ubogi
a jeśli trzeba będzie – już gwiazdę z wieczora
zapal! – abyśmy zobaczyli – siną twarz upióra!

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

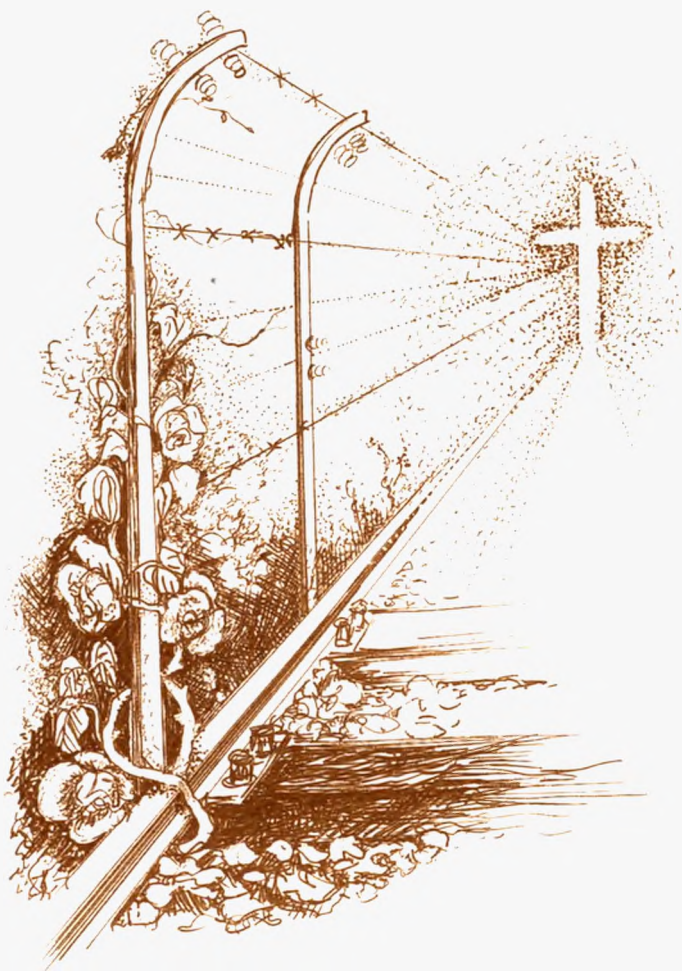
nie wstydz się

nie wstydz się mówić – serce
dla nich to nadmiar patosu
nie wstydz się mówić – Polska
jeśli to sens twego losu

nie wstydz się mówić prosto
na przekór podstępny słowom
nie milcz podstępny milczeniem
jeśli cię słowa bołą

nie wstydz się zgrzebnej wiary
tak szarej jak twoja ziemia
to z niej wyrasta najgrubsza
zielona gałąź istnienia

W Imię Twoje, 1989



pamięć i sumienie

nad mapą Królestwa Polskiego

co mogę powiedzieć? – ja żyjący teraz
pochylony nad mapą Królestwa Polskiego
odzierany przez lata jak biblijne drzewo
z prawdziwych wiadomości – dobrego i złego

przez sniegi białych kartek nie biegną kibitki
łańcuchy czarnych liter nie dzwonią złowieszczo
uczono mnie pogardy do wysokich lotów
i dystansu chłodnego do narwanych wieszczów

przesypuję godziny przez pustynie dłoni
uczę się długich milczeń w towarzystwie cienia
który bywa – ostrym szponem uderzy bolesnie
jak nagle spadający – zły jastrząb sumienia

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

dziad

jak dziad co po peronie w płaszczu brudnym łązi
kiedy gębę czerwoną w samogonie moczy
spragnieni ciągle wizji szczęśliwego życia
idziemy wytrzeszczając załzawione oczy

w skorupie ciemnej bełkotliwej mowy
na starych sentymentach drżącymi rękami
rzępolimy żałośnie już niemodne pieśni
w obojętności świata co pogardza nami

i wciąż spragnieni ciepła i lepszego jutra
zaglądamy pokornie przechodzącym w twarze
i zbieramy do torby co ma dno dziurawe
odpadki i okruchy niespełnionych marzeń...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

kto!?

nie! – nie przestanę dzwonić kajdanami
i jutro niech świat idzie w którą zechce stronę
bo dzisiaj co ocalaę w niepodległym sercu
to wiem – prawdziwym jutro dla nas wzrosnie domem

zbyt długo smyczą kłamstwa kreslono widnokrąg
teraz dalej już patrzę poza mur milczenia
tam Matka Ostrobramska podnosi nas z kolan
gdy cudem nam przywraca łaskę zrozumienia

kto z was podniesie na mnie bez obawy kamień?
kto w ten las krzyży polskich wejdzie bez obawy?
kto będzie głucho milczał kiedy go spytają?
o prawdę Wilna! – Lwowa! – czy gorycz Warszawy!

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

Matejko

*I widzisz: mały człowiek,
Matejko garbaty.*

Jan Lechoń

znajdą tyle w tych płótnach
pęknięć i defektów...
tyle wad kompozycji...
zbytecznych efektów...

a ja gdy przed nim stanę
to w historii szumie
nawet słowa zachwytu
wyduścić nie umiem

i jestem dziwnie mały
w przywiślańskim kraju
gdzie ludzie jako kundle
na siebie szczekają

gdzie klóćą się o małe
a o wielkim marzą
gdy po trupie historii
niczym muchy łażą

gdzie modnym jest udawać
bolesne istnienie
i w stronę Europy
odwracać spojrzenie

i jestem jakiś mały
wobec tego człowieka
co dźwigał wielką Polskę
w malowanych wiekach

który dłonią wychudłą
zrastał się z Jej chwałą

gdy pochylał ponad płótnem
swe garbate ciało...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

to po nas muszą

serca musimy dźwignąć jak chorągwie
nie czas się chować za plecy i słowa
– bo Prawda zawsze jedno miała imię
i z niej nam trzeba dzisiaj pieśń budować

choćby ci płomień miał poranić dłonie
musisz go przenieść poprzez mrok i burze
przez grzęzawisko zwyrodniałych doktryn
– wbrew nienawiści ukrytej w mundurze

to po nas muszą jak po zbawczej grobli
przejść – by zobaczyć jutrzejsze świtanie
by z kraty co potniemy w milion krzyży
– wyrosło kiedyś – Polski zmartwychwstanie!

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

Stańczyk

Stańczyk z rękami
załamany
przez kraty palców
patrzy ku ziemi

On w sercu błazna
ciern ostry kryje
widzi los Polski
gdy twarz zakryje

błazenskiej czapki
dzwonki mu grają
ciemne requiem
zapowiadają

koło historii
skrzypi za drzwiami
przez nasze dzieje
przejdzie klęskami

i kiedys tylko
o mądrym błaznie
grzebiąc w historii
wspomną przyjaźnie...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

w wigilię nadziei

nie czas się przekomarzać o słowa i gesty
gdy smrodem zewsząd ciągnie rzeczywistość nasza
wielkie czyny jak słoma furknęły zbyt szybko
i parzą po kieszeniach srebrniki Judasza

cośmy się nauczyli – z ognia i popiołu
co leży w naszych dziejach w głąb pamięcią złą
co potrafisz odczytać z ziemi swoich ojców
z przykazań rytych kością – wyszywanych krwią

które z ogniw łańcucha co nam pęta nogi
musimy przepiłować upartym mozołem
byśmy mogli znów wszyscy w wigilię nadziei
łamać się naszym sercem ponad polskim stołem...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

11 listopada

w gazetach tylko drobne okruchy pamięci
pomiędzy grubych liter spasytymi brzuchami
bo oto nie patrzymy zbyt czujnie w historię
bawiąc się krzykliwymi głupimi hasłami

zatroskani o teraz – wpatrzeni w ekrany
płukani szklaną rzeką – nawet w dusznych snach
sypiemy się przez lata w zegarze historii
mieleni w jego żarnach na jałowy piach

którym wiatr zasypuje szance i mogiły
wielkie daty – marzenia – historyczne sceny
po których obłąkani od długiej rozpacz
poeci – nad padliną – modlą się jak hieny

Kiedy mówią znow kamienie, 1989

rocznica

znów nadejdzie listopad i z okrągłą datą
będziemy harce czynić w imię współczesności
w imię zrozumienia najnowszej historii
w której tyle bieleje plam i białych kości

by i dla nas zostały jakieś listki chwały
złożymy z nowej daty wieniec laurowy
i chociaż tylko palcem piszemy po piasku
ozdobimy w rocznicę narodowe głowy

gdy nadejdzie listopad – zapłoną mogiły
zawsze w kirach nam było ładnie i do twarzy
odkurzimy starannie takich bohaterów
– by mogli być ozdobą współczesnych cmentarzy

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

pamięć

to tak łatwo zapomnieć
tych pod skórą ziemi
co odeszli i leżą
w ramionach korzeni...

i nie przyjdą nie staną
w prostokącie drzwi
by powiedzieć ze przeciez
przysiękałeś i...

ze zdradziłeś i teraz
ich to jeszcze boli
gdy patrzą poprzez kwiaty
z podziemnej niewoli...

ze oddali ci życie
gdy na tamten brzeg
odchodzili z nadzieją
bys pamięci strzegł...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

przechowamy ogień

przechowamy w sobie ogień wielkiej Polski!
nie stłamsi go szyderstwo i głupie sojusze
bo nie transparenty tworzą siłę pieśni
ale wierne Jej grobom niepodległe dusze

bo w tej groźnej chorobie co mój kraj pożera
nie pozwól byśmy Panie! znowu tak skarleli
że rozumieć nie będziemy tych co już odeszli
a tworzyli naszą przeszłość z czerwieni i bieli

przeniesiemy tożsamość przez zły czas niemocy
przechowamy ją – choć groźny nastał czas choroby
po każdej epidemii powracało życie –
jak trawa – co zarasta z czasem wszystkie groby

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

1863

placzące
w okładkach
historii
krwawe
styczniowe
dni

1863
ciężki łańcuch
u nogi
zawieja
jak
wściekły
pies
u katorzniczej
drogi

1863
pochyloną
kapliczką
pamięci
gdzie
czasami
przystają
zmęczeni
polscy
święci

1863
łagodny
wzgorek
rozpaczy
zapomniany
grób
nadziei

zarosły
poprzez
lata
białymi
kwiatami
znaczeń...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

wierzbowe sumienie

najpierw pokochać trzeba to najbliżej
ojca i matkę... prog i szelest mowy
którą mówiłeś ufnie pierwszy pacierz
kiedy najbliżsi pochylali głowy

krajobraz wrosły w ciebie tak głęboko
ze każdym nerwem czułeś jego znamię
ze kiedy płakał ptak... krwawiło drzewo...
jakby i tobie ktoś zadawał ranę...

i tak wyrosłeś by rozumieć więcej
progim już była Wisła... Częstochowa...
Testament Wieszców... Bog co stał przy drogach
i coraz cięższe w tobie polskie słowa

najpierw pokochać trzeba to najbliżej
by zapuściło głęboko korzenie
by kiedy przyjdzie choroba zwątpienia
zawsze bolało wierzbowe sumienie

by patyk słowa jak wierzbowa witka
wetknięty czule polskie serce zmienił
i w nas wyrastał na przekor niewierze
tym polskim znakiem... bieli i czerwieni...

Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

abyś powrócił

w kraju będę cierpliwie
rózaniec mówił przed Bogiem
aby ci mały tęsknoty
wyrosły wielkie przed progiem

w skromnej kapliczce pamięci
wielką modlitwę rozpalę
wierzę... że tą modlitwą
pamięć o Matce ocalę...

że w progu twojego serca
zarosłym chwastem zwątpienia
stanie zgarbiona troską
płacząca wierzba Chopina

i że powrócisz do Matki
Ona każdego przygarnie
patrz! jak na Jasnej Górze
trzyma nadziei latarnię

i poprzez wieki nią świeci
i sercem nas wszystkich broni
każdemu kto do Niej wraca
ręce przykładają do skroni

w kraju będę cierpliwie
węzełki różańca znaczył
abyś kiedyś powrócił
nawet z krańca rozpaczy...

Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

ku wolności

chciałbym zobaczyć Lwów
i Wilno z Ostrą Bramą
zanim upuszczę pióro...
zanim mi ręce wyłamią...

zanim nas tak ogłuszą
geohaniebnym krakaniem
ze nam ostatnie słowo
jak kropla cykuty zostanie

i dzikie pola racji
zagłuszą gorzkie piołuny
i trzaśnie pod stopą przemocy
uschnięty badył dumy

II

Matko z Ostrej Bramy
popatrz na ich ból
i miłością osłon
od zdradzieckich kul

gdy zwierzęta czołgów
pazurami grozą
kiedy żołdat im wygraza
żelazną obrozą

zabierz tę dziewczynkę
spod stalowych kół...
tego chłopca co pociskiem
rozdarty na pół...

ojcom otrzyj czule
krew z rozbitych ust
niechaj łzy nie zlobią
matkom w twarzy bruzd

Matko zatrwożona
czerwoną zarazą
prowadź ku wolności
tych co o niej marzą...

Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

ksiądz Jerzy

gdy ksiądz Jerzy szedł do nieba
zbity zapłakany
Matka Boska czułą ręką
goiła Mu rany

rozcierała sine pręgi
ściągała powrozy
wyciągała z ust zsiniałych
wielki knebel grozy

i patrzyli wszyscy święci
z wielkim zatroskaniem
i mówili coraz głośniej
do Matki litanie

jeszcze ciekła cienką struzką
z Wisły brudna woda
kiedy spadał kamień śmierci
po niebieskich schodach

potem wszyscy zobaczyli
jak Go przytuliła
i łzę wielką niczym perłę
w dłoni zacisnęła

i zaniósła tę łzę Bogu
gdy o polskiej sprawie
rozmawiali z sobą długo
czule i łaskawie

polskim świętym zaś ksiądz Jerzy
opowiadał długo
w jaki sposób i On pragnął
zostać Bożym sługą...

Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

modlitwa niepokoju

nie pozwól Panie!
by ze wschodu
przyszła znów hańba
dla narodu

by nas jak ziarna
wśród kamieni
wdeptali obcy
w pył tej ziemi

by już nie myli
nigdy więcej
nad Wisłą zdrajcy
brudne ręce

proszę Cię Panie!
bądź łaskawy
gdy dojdą znowu
do Warszawy

gdy po raz piąty
nas osaczają
by dołą gnębić nas
sobaczą

bądź wola Twoja
ciężar krzyża
naszej wolności
nie ubliża

ale nie pozwól
Dobry Panie!
byśmy prosili
przez kaganiec!

Polskie sumienie

prośba

przyjmij mój Naród
Panie Boże!
z całym dobytkiem
z grzechów morzem

naszą historią
pogmatwaną
niezagojoną
wieczną raną

niepocieszoną
czarną wdową
ponad mogiłą
wiecznie nową

naszym zapalem
co jak słoma
buchnie płomieniem
i... już kona...

albo odwagą
w czas zwątpienia
co budzi wiarą
pokolenia

co nie uwierzy
ze ukrzyżowane
poki nie włoży
palców w ranę

poki sam piekła
nie zobaczy
to nie uwierzy
w dno rozpaczy

co jak żelazne
serce trwogi
stawia uśpiony
świat na nogi

kiedy historia
szorstkim sznurem
kołysze nas
to w dół... to w górę...

przyjmij mój naród
Panie Boże!
z całym dobytkiem
z grzechów morzem

gdy znów żelazo
czy pożoga
będą po naszych
chodzić drogach

bo tylko Ty!
w popielnym żarze
ocalisz nasze
ludzkie twarze...

Polskie sumienie

na smukłych strunach topól

na smukłych strunach topól napięty widnokrąg
toczy kołem przez łęgi odchodzące dni
gasnące oko nieba nad równiną pola
pochyla się i cieknie ciepłą kroplą krwi

Ojciec Kolbe w pasiaku zszarzałych zagonów
idzie ciągnąc za sobą srebrne nici lata
i wierzbom rozczochranym co biegną wzdłuż drogi
w warkocze rozplecione szept modlitwy wplata

na smukłych strunach topól rozplakane niebo
czesze chłodne warkocze nad lustrami wód
ptaki szyją cierpliwie postrzępione drogi
którymi wiodą wolność do niebieskich wrót

w mieście wieczór kołysze czułe serce dzwonu
biegnie echem wysokim wołanie nieszporu
człowiek ciągle toczony zarazą zwątpienia
zaslepiony podnosi rdzawy topór sporu

na smukłych strunach topól pociemniałe niebo
galopuje stadami szarych ciężkich chmur
Ojciec Kolbe w drewniakach z sinymi nogami
z pamięci ludzkiej doli odłupany wiór

w napiętych strunach topól jesienna muzyka
ptakami rozpisana w pięcioliniach bruzd
po niebie galopuje koń z płomienną grzywą
z pianą chmury która rośnie u słonecznych uzd

w strzelistym akcie topól modlitwy szemranie
ścieżki piszą w zagonach znojny chłopski mozoł
koń powoli przeciąga klekocące głośno
wypełnione nostalgią chude zebra wozu

a drogi leżą krzyżem w szarym pyłe trudu
ludziom ciężko jest wybaczyć ich nieludzki czyn
więc idzie Maksymilian w pasiaku przez pole
i zbiera w szczupłe dłonie bujne chwasty win

i miastu się przygląda – tu skulony dom
pamięta jego kroki ponad niskim progiem
tu spierał się ze światem o Prawdę i Cel
w tym domu po raz pierwszy zobaczył się z Bogiem

po smukłych strunach topól wiatr przeciąga smykkiem
toczy kołem przez łągi odchodzące dni
gasnące oko nieba nad równiną pola
pochyla się i cieknie ciepłą kroplą krwi...

Requiem Poloniae, 199

jeszcze dzwonią pociągi na zwrotnicach nieba

jeszcze nad krematorium czarne kwiaty dymu
i smród wokół się snuje ze spalonych ciał
i boleśnie drutami wrzyna nam się w pamięć
tamten czas co nad nami bezlitośnie stał

jeszcze dzwonią pociągi na zwrotnicach nieba
pełne świętych co przeszli przez niebieski próg
a już stoją i szarpią za ramiona krzyża
w miejscu które uświęcił swym cierpieniem Bóg

pod ścianą śmierci dotknięci przez pamięć
osłaniają płomyki ci z tamtego świata
w głodowym bunkrze z różańcem jak z tarczą
wciąż klęczy tamten więzień co poszedł za brata

nad Birkenau ciągnie już kolejna jesień
święci sypią popiołem wciąż na nasze czoła
i wciąż widać pociągi pełne ludzkich cieni
które Bóg spoza drutów wielkim głosem woła

w szare pasy pocięty jesienny krajobraz
lotny popiół wiatr rozwał w cztery świata krance
świat zapomniał wypełnić testament miłości
spisywany cierpliwie głodowym różańcem

i wciąż dzwonią pociągi na zwrotnicach nieba
i na rampach kolbami los rozdaje ból
i wciąż Chrystus się wspina na swoją Golgotę
poganiany przez katów długim świstem kul

tryptyk oświęcimski

*Która jesteś jak nad czarnym lasem
blask – pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdy zaczniemy walczyć – miłości.*

K. K. Baczyński

I

tu oto wchodzisz w gęsty tłum milczenia
tych którzy niebo okrywali mrokiem
kiedy ich milion jak przejrzysty mur
schodzi do ciebie bezszelestnym krokiem

czujesz ich oddech na zgarbionych plecach
słyszysz rąk szelest łamanych rozpaczą
przez plac smagani długim biczem łez
idą... i idą... i idą... i płaczą...

i ogłuszony ciężką pięścią żalu
milczysz splątany w oświęcimskie druty
ze stosu rzeczy po nich zostawionych
ubierasz pamięć w obozowe buty...

II

- i ciepło oczu przepalone w popiół
- i czułość palców rozsypana w pył
- i głosy wasze rozgniecione w ciszę
- i śmierci powiew w korytarzach żył

- i drogi lęku przez ostatnią bramę
- i wiara ogniem przez dymiący próg
- i miłość drżąca w krzyżu celownika
- i sens cierpienia które zważy Bóg

- i pamięć o was mieszkająca w ogniu
- i prawda o was w ciemnych włosach chmur
- i świętość skromnie świecąca w ołtarzach
- z krzyża Chrystusa odłupany wiór

III

my którym jeszcze Bóg zostawił wiarę
tę ciepłą iskrę pod górą popiołu
mamy ocalić jasny płomień wiary
przez wiatr niesiony skrzydłami aniołów

bo gdy nam jeszcze Bóg pozwala wrócić
do tego miejsca darowanej kary
idźmy! rozpalić dla ludzkiego jutra
tę ciepłą iskrę ocalonej wiary...!

Requiem Poloniae, 1991

patron wielkiej miłości

dzisiaj nam coraz trudniej pokochać bliźniego
miłość w krzywym zwierciadle stroi głupie miny
nasze serce już nie jest tak głodne jak kiedyś
i tłuszczem obrośnięte nie czuje już winy...

miłość zastępujemy na tysiąc sposobów
tysiąc technik pracuje chętnie i celowo
i nie mamy już czasu – by tęsknić – by czekać
i nie znaczy już wiele – i Honor – i Słowo!

Dekalog nas uwiera jak związany kaftan
wolimy więc wolności rozpasane ciało
pragniemy coraz więcej – i więcej – i więcej...
bo ciągle nam za mało – za mało – za mało...

o biel wyciera jawnie pokrwawione dłonie
zdrajca w purpurę krzykliwie ubrany
Niewinny nie miał czasu by chociaż zapłakać
stając się środkiem wyszarpanej rany

i płacze na śmietniku w przyszpitalnym zsypie
na zawsze pozbawiony ludzkiego imienia
Ten dla którego zabrakło miłości
na peryferiach ludzkiego sumienia

i prawo swoje stanowi przed Bogiem
bo niewygodne mu krzyża przesłanie
ileż to razy będziesz musiał Chryste!
odwalać z grobu zmartwychwstania kamień

dzisiaj nam coraz trudniej pokochać bliźniego
siebie tylko kochamy na swą ludzką miarę
dlatego tak nam trudno zrozumieć że inny
mógł z siebie dla innego uczynić ofiarę...

stoi więc w mroku czasu w wyblakłym pasiaku
Patron Wielkiej Miłości z różańcem ufności
i szepce przesuając koraliki godzin
modlitwę – by świat wrócił znowu do miłości...

trzecie pianie koguta

przy tobie garstka tych co pozostali
miłość – to nie jest serca buta
miłość wymaga więcej niż pozorów
tak – to już trzeci krzyk koguta

jak nam skundleli ci szlachetni
patrz! jak ci wielcy nam skarleli
czerwone znowu jest jak rana
bandaże – trzeba robić z bieli

mamy tradycje targowic i zdrady
kłamstwa – co bywa jak ukłon lokaja
podnieś się Polsko! chamską dłonią
daj w pysk – niech milczy podła zgraja

tak to już trzeci wrzask koguta
dziwny to świt co ciemność wróży
chmury się wloką wschodnim szlakiem
gonione złotym batem burzy

przy tobie garstka tych co pozostali
i bemolowa w sercu naszym nuta
kiedy nas budzi znowu naszym fatum
szorstki jak powróż – wrzask koguta!

Trzecie pianie koguta, 1996

Wierzyński

siedzę z Wierzyńskim w cichy wieczór
tak jakby ciągle z nami był
rozmawiam z Nim a On rytmicznie
kołacze sercem w strunach żył

tęskni – więc biorę Go za rękę
ciepłą i mocną – męską dłoń
serce z kamienia cicho szepce
słowo poety... to niezwykła broń...

wyciąga z kufra fotografie
suszone kwiaty – zapach ziół
gorzki urodzaj – krzyż i miecze
i cień nam kładzie się u czoł

Nocna Ojczyzna – sen Chochołów
Czarny Polonez – Święty Boże!
rozmowa z księdzem o epoce
co szumi groźnie niczym morze

siedzę z Wierzyńskim w cichy wieczór
nad korcem naszych polskich słów
a nocna świeca w Imię Ojca
krzyżem nam łączy cienie głów

siódmą podkowę wezmę z sobą
aby ostatnią zagrać z ról
gdy przyjdzie piąta pora roku
– na polskie szczęście... los... i ból...

Trzecie pianie koguta, 1996

do Stanisława Wyspiańskiego

a my ciągle jak we śnie... panie Stanisławie!
nie możemy przekroczyć zaklętego progu
choć przestrzeń wolności otwarta przed nami
i wciąż słychać muzykę ze Złotego Rogu...

niebo jakby jaśniejsze i bardziej błękitne
lecz nas instynkt zawodzi i skrzydła dziurawe
więc drepczemy splątani w wyuczone gesty
wyszarpując z przekleństwem bólu drzazgi krwawe...

w głowie ciągle nam szumi i wzrok nas zawodzi
choć prorokiem na przyszłość jest u nas co drugi
nie umiemy szarości uznać za to nasze
ciągle nam się podoba tęczowość papugi...

więc my ciągle jak we śnie... panie Stanisławie!
głupiec Złotą Podkowę przepił i jest chory
i w nieprzytomnym dotąd zatacza się zwidzie
żadne go już nie wzruszą słowa Wernyhory...

Nawracanie Chochota, 1993

serce mowy

mowa moja!

w śmierdzących barach
z wykręconymi rękami metafor

z ślinotokiem przekleństw
w pijackich melinach

z wrzodami kłamstw
pod wymiętym płaszczem gazety

włoczona pod latarnie hańby
w krzykliwym makijażu bezwstydu

skulona przy czapce żebraka
z wysoką gorączką marzeń

mowo! Kochanowskiego
Mickiewicza
Słowackiego...

mowo! Norwida
Wypiańskiego
Twardowskiego...

mowa moja

w brudnych łachmanach codzienności
w dziurawych butach znaczeń
w palącej koszuli Dejaniry...

przytul mnie mocno bym usłyszał
jak bije Twoje matczyne

serce...!

Sanatorium po drugiej stronie 1993

W nie przycisnąć że bratka
 z wyjątku
 momentu

gdy

a gdy będą żarli nas wszy
 i gdy chleb będzie świecił Norwidem
 powrócimy do prostych prawd
 za rozpaczy bolącym zwidem

gdy powieje od serca chłód
 jak z gułagów piekący świst bata
 będziesz szukał w wyjąłym stadzie
 tego wilka co z tobą się zbrata

będziesz nosił gorącą łzę
 co zapali się w tobie płomieniem
 nim wyszarpiesz skrwawiony cierń
 co ropieje w tobie milczeniem

gdy sumienie stanie jak wilk
 i zawyje samotne requiem
 zaciśnięta obroza kłamstwa
 będzie sznurem co ściśnie ci szyję

Trzecie pianie koguta, 1996

Celka
 w brzośnie
 ofow on-ow

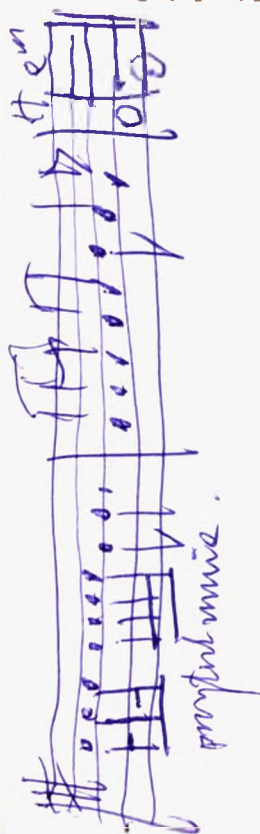
bo doprawdy będzie uczciwiej

kto nie umie osądzić kłamstwa
bo się boi o trudne pytanie
ten niech łańcuch na sznur zamieni
ten niech togę powiesi na ścianie

kto nie umie osądzić kłamstwa
niech się szalą wagi nie bawi
bo są rzeczy ważniejsze niż życie
które naród na wagę postawi

kto nie umie osądzić kłamstwa
niech nie nosi biretu nad czołem
bo doprawdy będzie uczciwiej
gdy posypie głowę popiołem...

Trzecie pianie koguta, 1996



na progu Polski

1 na progu Polski się położę
i będę drzazgą w twojej nodze
aż cię dosięgnie krwawa pręga
i będziesz pytał o Nią w trwodze

aż ci śmiertelnie zajrzy w oczy
lodowy anioł chłodnej dali
aż ci zadzwonią łańcuchami
ci co w ramionach Jej konali

2. na progu Polski się położę
z tym przekonaniem które boli
że jeśli znowu Ją spętają
to nie zniewolą naszej woli

tak myślałem naiwnie kiedyś
że odpocznę a Ty! nie zginiesz
teraz wiem żeś Ty jest jak choroba
która nigdy sama nie minie

mój ty domie koślawy – wierzbowy
z szorstką korą mojego słowa
wiem że ranić będą cię nieraz
lecz Ty będziesz wzrastać od nowa

że miniemy z krzykiem i płaczem
uwikłani w kłamstwa i spory
jeśli Bóg jednak nas nie opuści
Ty! nie zginiesz losem Gomory

Polskie sumienie

do tchórz

nie wychylajcie się...
i
milczcie!
nie podnoście ręki
nie warto łba nadstawiać
gdy nieznana cena
kalkulujcie dokładnie
co się wam opłaci
czy można z ideału
wycisnąć pieniądze?!
nie protestujcie
bo po co?
jeśli się nie uda?!
trzymajcie z mocniejszymi
tak zawsze bezpieczniej
tak dyplomatyczniej
nie przejmujcie się
czekajcie
bo to cecha tchórz
a
gdy kogut zapieje
można mu toporem
odciąć głowę
by w święto
dał spokój sumieniu!

Trzecie pianie koguta, 1996



panie Muchin modlimy się za pana

...cała katyńska sprawa została podniesiona dzisiaj po to, aby zrobić Polaków takimi, jakimi byli w 1939 roku. Aby zamiast mężów stanu mieli tępych gadułów, zamiast generałów i oficerów – tchórzliwych zamiataczy parkietów. Aby Polska znowu stała się żarłoczną europejską prostytutką z głupią nadzieją, że jeśli komus się nadstawi, to coś w zamian otrzyma.

Powiem uczciwie, jako ludzi żał mi tych rozstrzelanych Polaków, ale jako patriocie jest mi obojętne, kto tych agresywnych idiotów rozstrzelał – Niemcy czy my. Dobrze im tak – nosicielom bezmyślnych idei... Dzisiaj na sam fakt zamordowania oficerów można splunąć; my – to my; Niemcy to Niemcy...

Jurij Muchin, *Katyńska powieść kryminalna*

panie Muchin
Polska o której tak pogardliwie
pisze pan w swoim paszkwilu
nie jest żarłoczną prostytutką
a jest moją Matką
którą kocham jak ci agresywni idioci
wymordowani w Katyniu
którzy oddali za nią to co najcenniejsze
– życie
u nas w Polsce Matka
jest kimś najdroższym
bo to ona daje nam życie
poczucie bezpieczeństwa i
miłość
a według Dekalogu
wszyscy ludzie są braćmi
i
dlatego z głębokim smutkiem
pochyliłam się nad panem
bo rozumiem że choroba nienawiści
która pana zżera zagraża nam wszystkim

mieszkającym pod jednym niebem
między jedną galaktyką a drugą
między jedną chorobliwą doktryną
a kłamstwem i obojętnością
z drugiej...

panie Muchin

nie mówi pan uczciwie...

u nas przydomek patriota

zobowiązuje do tego

by szanować innych bardziej

niż to wynika z poczucia cynizmu

czy przyzwoitości

panie Muchin

i niech pan nie pluje pogardliwie

na groby naszych Ojców

bo u nas nie jest obojętne

kto jest mordercą

Niemiec – czy Rosjanin...

wybaczenie bywa karą

równie dotkliwą jak gułagi

czy obozy koncentracyjne

ale najpierw musi pan odnaleźć

to co odróżnia ludzi od zwierząt

– sumienie!

choć jak pan pisze

jest to głupia nadzieja

modlimy się za pana

zamiast pluć sposobem tych

którzy nie poznali jeszcze zasad

obowiązujących w rodzinie ludzkiej

i nie rozumieją że są ofiarą i źródłem zakażenia...

i jeszcze jedno panie Muchin...

ci agresywni idioci

mieli związane ręce

gdy strzelano do nich

od strony pleców
ale i tak pan nie zrozumie
czym jest
Bóg
Honor
i
Ojczyzna!

Trzecie pianie koguta, 1996

bo nie oni będą mi miarą

niech mnie kłamcy nie uczą prawdy
niech mnie tchórze nie uczą odwagi
bo nie oni będą mi miarą
sprawiedliwym językiem u wagi

ten co dzielił ludzi pogardą
i miłował jedynie siebie
niech nie mówi o rozgrzeszeniu
o pokucie piekle i niebie...

taki byłeś próżny w swej wierze
taki pewny przebytych dróg
zapomniałeś że bezpośrednio
z każdym przecież rozmawia Bóg

zapomniałeś że pycha przeszkadza
że odgradza od prawdy jak mur
że potrzeba bolesnej pokory
gdy zapieje po trzykroć kur

jeszcze boli mnie moja Polska
dzięki Bogu za to cierpienie
za niepokój w gołębicim sercu
co się tłucze o żebra kamieniem

nie otłuszcza mojego sumienia
błogi spokój i pewność fałszywa
jeszcze boję się wiatru ze wschodu
co kibitką pamięci przybywa

daj mi Panie na tyle siły
bym przebaczył co jeszcze mnie boli
by nienawiść nie stała się murem
co otoczy mnie murem niewoli

pozволь zrzucić mi z serca ciężar
chłodny kamień pogardy i złości
daj by moją bronią i tarczą
była wielka idea miłości

jeszcze klękam każdego wieczoru
by powierzyć Bogu nasz los
byśmy byli gotowi przyjąć
ze spokojem kolejny cios

bo jeśli naród z Twojej woli stanie
i przez stulecia idzie w wierze
to mu nie straszny żaden wróg
bo Twoje broni go przymierze

niech mnie kłamcy nie uczą prawdy
niech mnie tchórze nie uczą odwagi
bo nie oni będą mi miarą
sprawiedliwym języczkiem u wagi...

Trzecie pianie koguta, 1996

czerwona karuzela

i znów czerwona karuzela
będzie nam mącić w ciężkiej głowie
aż serce w nas na baczność stanie
duszającym kneblem w twardym słowie

świt zawiruje widnokręgiem
oczy zaleje szara rzeka
za karawanem naszych marzeń
czerwony kundel znów zaszczeka

brudnym powrozem nas oplącze
szorstka codzienność... grząskie błoto...
potem nam rzuca prosto w twarze
patrzcie! to wasza Polska oto...!

w odświętnym czarnym garniturze
z tym przeraźliwie bladym czołem
wysoko sztywno pośród gromnic
co strzegą ciszy drżącym kołem

na chybotliwym katafalku
z długą czerwoną pręgą bata
z szeptem modlitwy fioletowej
z nogami w papierowych kwiatach

w dymie kadzidel... słów powodzi
w organach żalnych nad kaleką
na peryferiach Europy
w werblach dudniących w głuche wieko

i znów czerwona karuzela
nim jej znów krechę nie oddziela
będzie w nas mącić brudną łapą
święte i podłe... czerwień... z bielą...

Polskie sumienie

czerwonka

czerwonka płucze nas boleśnie
wokół czerwone ślady krwi
i coraz bledsze nasze twarze
coraz smutniejsze nasze dni

gorączka zżera nas i ból
zakaźny oddział – biała sala...
czerwony pająk snuje sieć
czerwoną siecią nas zniewala

dezynfekcyjny wokół smród
konsylium zaciśnięty krąg
maski... fartuchy... rękawice
groźna choroba brudnych rąk

czerwonka ostrzegają wokół
tłuste napisy na plakatach
zdezynfekować każdą rzecz
zanim ją dotknie ręka świata

czerwonka płucze nas boleśnie
szepce zza kraty naszych dni
głupia choroba brudnych rąk
z naszej wolności głośno drwi...

Trzecie pianie koguta, 1996

placzą za Tobą...

wdeptani w błoto obcej ziemi
gdzie pamięć jest dotkliwą karą
rzuceni w brudny kąt historii
czekają ciebie z gorzką wiarą

gdzie zwierzę miało większą cenę
niż życie zdradzonego brata
gdzie się czerwony kat jak pluskwa
opijał krwią na oczach świata

w odległych stepach Kazachstanu
placzą za Tobą Matko Polsko!
a Ty im mówisz że nie pora
i się zasłaniasz wolą Boską

ci co przetrwali nasłuchują
chorzy od marzeń o wolności
wielu już szumi w stepie trawą
i świeci próchnem białych kości

a Ty powiadasz że nie pora
że dom nasz jeszcze nie gotowy
a ja się wstydzę w naszym domu
kłamliwej i wykrętnej mowy

placzą za Tobą z głębi bólu
czekają kiedy zadrzysz troską
obys macochą nie została
dla swoich dzieci – Matko Polsko!

bo zapomniałaś o nich dawno
bo niewygodna pamięć taka
gdy skarbem jest jedynie wierność
i płacz... i żal do Polaka...

a to Polska... właśnie...!

Myślę, że nadeszła pora, by popatrzeć za siebie do tyłu, tak jak się spogląda na świeżo zaorany zagon, na wykonaną w pocie czoła pracę.

I co widać?

Pług szedł zbyt płytko i spod płaskich skib wystają resztki dawnej uprawy, chwasty, nie wyzbierane kamienie, perz.

Miedza krzywa i koślawa, leży boleśnie poskręcana na obrzeżu pola. W rogach niechlujnie okrojone, niekształtne płaty ugoru jak wyrzut sumienia. Bruzda, jak chory kręgosłup, wykręcona w niezdarne „S”. Od wschodu wieje groźnym, przejmującym chłodem. Wrony napastliwym wrzaskiem próbują przepłoszyć gospodarza, by urządzić krzykliwą ucztę. Widnokrąg zaciska coraz mocniej pętlę na niekształtnych głowach wierzb. Jesień wilgotna i szara niesie w brudnej, zgrzebnej płachcie niedojrzałą pomarańczę słońca. Chopin chorobliwie i gorączkowo zмага się z nastrojem smutku, żalu i tęsknoty. Norwid nie może odnaleźć drogi do tego kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba. Rozmawia przejmująco o tęsknocie z Panem Bogiem. Anioły, z połamanymi skrzydłami, z grymasem bólu i zdumienia, stoją na rodzinnych polach. Jasiak, z silnymi, bosymi nogami, biegnie ze sznurem za uciekającym echem Złotego Rogu.

Czuję duszący, piekący ból za słonecznym splotem – a to Polska właśnie!

Trzecie pianie koguta, 1996

słyszałem Pana Boga jak szlochał we mnie...

chyba nie sądzisz

że w niebie będą tylko znajomi profesorowie

znani aktorzy i reżyserzy wyspecjalizowani w głoszeniu Dekalogu
pisarze z wielkim zakrwawionym piórem ze skrzydła strąconego
anioła

kompozytorzy od anielskiej muzyki i wielkich dzwonów chwały
redaktorzy przyjaznych gazet z opuchniętymi kolanami pokory
dobrodzieje kościoła pod kolorowym baldachimem intencji
znajomi prezydenci w czarnych garniturach dostojenstwa

i
ci którzy z rozdziawionymi z podziwu gębami

będą patrzeć na wasze szczęście i hałaśliwą radość

bo wam się udało nawet w niebie stworzyć prawdziwą elitę

bo Pan Bóg dał się nabrać na dym kadzidlany

na złote ornaty pozorów wyszywane mozolnie w kącie pokuty

za nadzieję za zbawienie i litość i zupełny odpust

na propagandowy grosik rzucany z hałasem i pogardą dla tych

którzy śmierzdzą i stoją upokorzeni w kącie kościoła

daleko od dywanów i stali i złociń by nie zbrudzić święconej
wody

że kolorowe konfetti słów zastąpi głęboki sens wiary

że po tamtej stronie cienia wystarczy właściwa legitymacja

ze złożonym błyszczącym krzyżykiem wytłoczonym na grzbiecie
publikatorów

paszport wystawiony przez biskupa przed progiem nieba

kilka pielgrzymek do świętych miejsc które są dowodem żywej
wiary

butelka święconej wody chroniąca od wyrzutów sumienia

kolorowe zdjęcie pod skrzydłami papieża

gryzący dym kazań i sztywna koloratka pobożności...

kiedy młody chłopak z gnijącymi nogami

siedział na najbogatszej ulicy Bielska pod gradem lodowatych
spojrzeń

kiedy chowano człowieka jak psa bo nie było dla niego godnego
miejsca

bo nie zdołał unieść ciężkiego krzyża który nałożyło na niego życie
kiedy matka skrwawionymi rękami oszalała z bólu lęku i rozpaczy
wyszarpywała z siebie miłość i wrzucała ją do muszli klozetowej...
słyszałem Pana Boga jak szlochał we mnie podając mi drżącą ręką
tę białą nie zapisaną jeszcze kartkę papieru...

Trzecie pianie koguta, 1996

wrony

czerwoni jak spłoszone wrony
które poderwał strach do lotu
siadają znów na polskiej ziemi
i wydziobują ziarna potu

i rozdrapują strup pamięci
co przysechł po nadziei latach
biją skrzydłami z głuchym wrzaskiem
płoszone ostrym trzaskiem bata

historia kręci karuzelą
kłamcy w hotelach znów paktują
bezwstydnie żrą owoce zdrady
na sprawiedliwość skrycie plują

i znów się leje polska krew
armatki znów nam myją głowy
czerwony uczy nas wolności
na krótkiej smyczy podłej zmowy

i wielki knebel demokracji
wpycha nam w gardło sprawnym ciosem
zongluje śmieszny kłown historii
naszym niepewnym polskim losem

czerwoni jak spłoszone wrony
krążą nad naszym polskim drzewem
i płacz co niesie się spod niego
przewrotnie nazywają śpiewem...

Polskie sumienie

wypowiadam wojnę

powiem jasno...

Czeczenia! to nie jest wewnętrzna sprawa Rosji
dopóki jestem człowiekiem wolnym od kłamstwa i tchórzostwa

powiem jasno...

tamtą kobietą z poszarpaną twarzą
która skowyczy z rozpaczny opuszczona przez los
mogła być moją matką...

powiem jasno...

ten mężczyzna spływający po płonącym murze
posiekany karabinem maszynowym
mógł być moim ojcem...

powiem jasno...

ta dziewczynka z czarnym warkoczykiem dzieciństwa
nawinięta na gąsienicę pędzącego czołgu
mogła być moją córką...

a ci chłopcy spaleni w transporterach i czołgach
poskręcani i szerniali od bólu jak knoty wypalonych świec
mogli być moimi synami którzy marzą o prawdziwej
wolności...

powiem jasno...

wypowiadam wojnę Rosji by dać świadectwo prawdzie
bo wolność nie uznaje granic i jest zbyt dumna by milczeć ze
strachu...

Polskie sumienie

o miejscu w którym rosną krzyże

panie Weiss...

nie wiem jak jest w Nowym Jorku...?

Izraelu...

czy pana nowej ojczyźnie...

ale u nas

krzyże wyrastają z ludzkich serc

z przelanej krwi

i

głębokiej wiary w sens cierpienia

wiem również

że moi rodacy nie jeżdżą do Nowego Jorku

by zamykać synagogi

czy siać niepokój w domu drugiego człowieka

i

powinien pan pamiętać

że krajem połamanych krzyży

nie była Polska z ropiejącą raną Oświęcima

i

nie my pisaliśmy dymem

tragiczną historię naszych narodów

przez wieki dzieliliśmy się kromką chleba

która nie była inwestycją w historię

czy próbą robienia dobrych interesów

ale trudnym dziełem wypełniania Dekalogu...

panie Weiss

każdy ma swoją gwiazdę na nieskończenie wielkim niebie

ale to nie pan jest tym który decyduje o ich losie

i

o miejscu w którym rosną

krzyże...

niewypał

na brzuchu Europy
jak zapłaconym ciałem
bawią się moim krajem
jak groźnym niewypałem

makijaż brudny szpeci
szare zmęczone lata
przez ciemne szyby obietnic
brudne podwórko świata

tu często zimne wiatry
w przeciągu wieją chłodem
bo mamy pokój przejściowy
między Zachodem i Wschodem

Sen Hioba

poród

stałam w Wiśniczu
w tamte dni
w małej celi
3 na 3

i aktem łaski
tamtych z góry
był smród co szedł
z więziennej dziury

stałam w Wiśniczu
obok prawo
żarło kotlety
przed rozprawą

a nam głód zjadał
własne ciało
co na drewnianych
nogach stało

my w szklanej budzie
bez ubrania
jak nagie znaki
zapytania

i tylko serce
niczym kamień
twardniało w każde
przesłuchanie

stałam w Wiśniczu
w dusznym smrodzie
aby urodzić
duch w narodzie!

Sen Hioba

wierzba

nocą słyszę jak szumi
czasu ocean ogromny
trzymam wierzbę za włosy
bo nie chcę zostać bezdomnym

ta wierzba to mój ratunek
kiedy się ku mnie nagina
ona trzymała szczupłą
i bladą rękę Chopina

kiedy Go strumień życia
nurtem śmiertelnym porywał
On ją przez hałas Paryża
skrzydłem muzyki przyzywał

może i mnie ocali
kiedy w ojczystym zagonie
położy mi kiedyś pod serce
swoje sękaty dłonie...

Sen Hioba

czapka

to prawda
że sytuacja może być dramatyczna
przykładów jest wiele...
ale Jugosławia czy Polska
to dwa niewielkie kraje
w Określonej Strefie Kłamstwa
i to nie jest twój żywotny interes
by tam bronić wolności za wszelką cenę
Ameryko!
dla spokoju sumienia
wystarczą zrzuty natowskich ochłapów
i zabawek
dyplomatyczna czkawka
przy konferencyjnym stole
należy to powiedzieć
z angielską flegmą
i
francuską finezją
o niemieckim pragmatyzmie
wiele wiemy z naszej historii
spisanej na grzbietach
naszych matek i ojców
mamy na to dowody
w Majdanku i Oświęcimiu
pod każdą rozplakaną brzozą...
niedawno dowiedzieliśmy się
że dym z cygara angielskiego premiera
był tak gęsty jak przysłowiowa
angielska mgła
i że świat przez nią nie dojrzał
zbrodni Katynia
i zmywy zdrajców

(dyplomacja której tutaj nad Wisłą
nie potrafimy zrozumieć
bo nie można przełożyć jej na Dekalog
bo kojarzy nam się z podłością)

dlatego o:

Honorze

Bogu

i

Ojczyźnie

mówimy we własnym gronie

niepoprawnych romantyków i marzycieli

by nie psuć pogodnego nastroju w:

Genewie

Strasburgu

Hadze

czy Nowym Jorku...

w końcu

pozwolono nam zobaczyć

cywilizowany zachodni świat

i wiemy jak należy trzymać czapkę

przed pańskimi drzwiami...

chyba że będzie to czapka

z czerwoną gwiazdą

cuchnąca potem

i

krwią...

Polskie sumienie

nocne krzyki

opowiadali
o całonocnych przesłuchaniach
gaszeniu papierosów na twarzy
biciu kablem
nogą od krzesła
stalowym prętem po pięciaci
gdy tracili przytomność
funkcjonariusze
(dla otrzeźwienia)
tłukli ich głowami o ścianę
„powiedział
że nauczy mnie latać...
kazał wykonywać tysiące przysiadów
usiąść na nodze od odwróconego stołka
rozciągnąć ręce jak skrzydła
i
nogami rozrywał mi stopy...
gadaj k... bo ci się mózg rozprysnie na ścianie
ty k... ilu alfonsów cię...
ty ch... syberyjski” (zwrot do kobiety
ale widocznie rodzaj był obojętny)
innego
wsadzono do celi śmierci
i kazano żegnać się z życiem
przez kilka dni słyszał strażników
którzy pozorowali przygotowania do egzekucji
„nocami nie mogłam spać
słyszałam straszne krzyki
jęki
ciągle wydawało mi się
że słyszę głos brata”

„jeszcze Polska nie umarła póki my”
co?!

12 czerwca 1994 roku w drodze do Europy...

Polskie sumienie

do krwi

w mojej ojczyźnie
która wciąż choruje
i którą gnębi
sieroca choroba

w mojej ojczyźnie
której nie opuszczę
i będę czuwał
na zarosłych grobach

w mojej ojczyźnie
gdzie smutno i szaro
chęć by sumienie
było dla nas karą

w mojej ojczyźnie
gdzie prawda umiera
będę z was maski
aż do krwi odzierał...

Sen Hioba

gorzka chwała

zawsze byłaś mi matką
serca mi nie złamię
gdy trzeba życiem świadczyć
więzy krwi nie kłamię

tutaj tylko prostuję
skrzydła przestrzelone
choć drzewo nieraz wkłada
skrwawioną koronę

choć gwoździem krwawi
pod ciężarem ciała
do Polski przybita
moja gorzka chwała

Sen Hioba

refleksja o najwyższej wartości jaką jest człowiek

dzisiaj
zgodnie z międzynarodowym bezprawiem
wielkie mocarstwa mogą sobie pozwolić na wkładanie brudnej
łapy
w krwawe rany świata – w otwarty bok Dekalogu...

żywotny interes wyżej wymienionych
może usprawiedliwiać morderczą obojętność wobec masakry
w każdym zakątku świata nakrytym atomowym parasolem strachu

leczenie międzynarodowych stosunków
za pomocą zastrzyków z broni robionych precyzyjnie w zapalne punkty
to zgodne z międzynarodowym bezprawiem partnerstwa dla spokoju
doktryna tych którzy wbijają odwrócony krzyż
w sprofanowany grób ludzkości

człowiek
który w postaci dymu z ofiary Kaina jest wartością najwyższą
rośnie czarną chmurą na niebie żelaznych aniołów
i radioaktywnych obłoków

miłość sprowadzona do krzyżówki genetycznej czeka w laboratoryjnej łódce
na rozstrzygnięcie Międzynarodowego Trybunału Kłamców
ubranych w czarne togi pozorów

tylko Piąte Przykazanie
wyrzucone na śmietnik daleko na peryferiach sumienia
zapłaćte czasem przejmująco na wymiętej pieluszcze z gazety...

Polskie sumienie

płomień wstydu

*Klaskaniem mając obrzękle prawice
Znudzony pieśnią lud wołał o cisy.*

C. K. Norwid

chcę w was zapalić płomień wstydu
bo sam od niego dzisiaj płonę
gdy z naszych sumień czas odziera
kryjącą dotąd nas zasłonę

poprzebierani w cudze szmaty
w obcych kostiumach bez nauki
słuchamy słów z sufierskiej budy
i gramy rolę z głupiej sztuki

a nie patrzymy w ciszę sali
na ciemną postać wątłą lichą
która spuchniętą bijąc dłonią
rzuca nam w twarze drwiący chichot

chcę w was zapalić płomień wstydu
by w nas spopielił to przebranie
a wiatr rozdmuchał garść popiołu
z którego Anioł Prawdy wstanie

i pójdzie pośród nas uważny
czujny na każde serca drgnienie
i będzie w chwilach naszych zwątpień
budził uspięne w nas sumienie

chcę w was zapalić płomień wstydu
w Teatrze Pospolitej Rzeczy
w nim niech goreje kłamstwo nasze
póki o litość nie zaskrzeczy...

Sen Hioba

Polska

pod lakierem reklam
łachmanem clocharda
żyje moja Polska
prawdziwa i harda

otoczona znową
podstępnych traktatów
wśród piania kogutów
pośród rąk piłatów

pod kupieckim gwarem
bełkotem lokajów
żyje w mowie ojców
w skarbie obyczajów

pomiędzy kamieniami
Zachodu i Wschodu
czas rozgniata ziarna
mojego narodu

i w metrykach pisanych
naszym losem twardym
w bieli i czerwieni
pod strupem pogardy

krzyżem w pyle dziejów
los nasz niezawisły
na przekór niewierze
trwa cudem znad Wisły

kamieniem nagrobnym
który Bóg odślania
kiedy nas podnosi!
w chwilach zmartwychwstania!

Sen Hioba

choroba polska

to nie ksenofobia
nie polska choroba
bo uczymy się życia
od wieków na grobach

nasza droga krwawa
batogiem pisana
biały anioł śmierci
w sybirskich kurhanach

jeszcze w brzożach płacze
w krzywych pniach bieleje
grażdanką pisane
nasze krwawe dzieje

ciągle dym nas trwoży
i lęk nas uwiera
w naszych snach z za drutów
przeniesionych w „teraz”

bo jeszcze na plecach
blizny nam sinieją
i złamane krzyże
cieniami się chwieją

i ów pocałunek
co światu ogłaszał
że ten znak czułości
to miłość Judasza

co nad polskim ciałem
zdradliwie się bratał
gdy podnosił sztylet
czułym gestem kata

co powrozem Wisły
ręce świętym łamał
i w imię Ojczyzny
pogardliwie kłamał

bo dziś nasza wiara
co do celu zbliża
szeroko rozpięta
na ramionach krzyża

niech więc nam diagnozy
nie stawiają tchórze
bo kto sieje kłamstwo
jutro zbierze burzę...

Sanatorium po drugiej stronie nieba, 1993

pamięć Europy

jeszcze srebrnik podzwania
po kamieniach sumienia
już nas uczą pokory
taktownego wzruszenia

zachwycenia parobka
co pod pańskim stołem
gniecie czapkę pokory
z zapoconym czołem

ciepłego gestu pana
co w chwili słabości
nagradza naszą służbę
jałmużną litości

i tego przekonania
co nas pali ukropem
że króciutka jest pamięć
wielkopańskiej Europy

Sen Hroba

wiara Europy

nie będę Europie
przed progiem się kłaniał
bo kark nasz teraz twardy
kiedyś ją osłaniał

to ona handlowała
w czas naszej agonii
gdy sercem potrząśnie
jeszcze srebrnie dzwoni

wierzę że kiedyś przyjdzie
dotknie krwawej stopy
bo to cud znad Wisły
wiarą Europy...

Sen Hioba



sanatorium po drugiej stronie nieba

pamięć

nie każ mi zapominać...

codziennie proszę Boga o pamięć
tak rozległą by w niej zmieścić
każdą naszą radość i zapomniany grób
nie ma takiej racji
(stanu czy siły)
w imię której moje serce
miałoby milczeć...

to w nas gniją:
strzępy mundurów
resztki końskiej uprzęży
żołnierskie buty
nie rozpięte (na czas) kabury
szorstkie sznury egzekucji
oczy wpatrzone z trwogą
w lufy plutonów egzekucyjnych
losy polskich świętych
idących nieprzerwanie
przez pamięć i historię

nie każ mi zapominać
o tych co przeszli przez:
wodę i ogień
kanały i kominy
rozpacz i nadzieję
wołę i niewołę
Wisłę i wiarę...

nie każ mi zapominać
i zabierz warczące suki
spod okien mojego domu...

Sanatorium po drugiej stronie nieba, 1993

niezależność

niektórzy dowodzą – że:
„milczą
ponieważ
zostali porażeni...”
– plują więc do szuflady
bo tak uczciwiej

czekają na dystans
który pozwoli im
na godniejsze odsłonięcie
twarzy i umysłu

mówią z pogardą
o wysokiej i brudnej fali
emocjonalnych wierszy
bijących jak niespokojne morze
o drzwi i biurka redakcji
– o falochron Sztuki

prawią uczenie w dobranym starannie
gronie
o wewnętrznej niezależności

przedstawiają niezbite dowody z historii
opierając się wykwintnie i elegancko
na ramionach znanych nazwisk
– a Robol?
idzie z gołymi rękami

(*naiwniak z romantyczną chorągiewką*)
i gdy bierze się za bary
w śmiertelnym uścisku z Historią
oni za uchyloną dyskretnie firanką
patrzą z wysokiego okna
intelektualnych doświadczeń

i
czekają
na
wynik!

Sanatorium po drugiej stronie nieba, 1993

drogowskaz

zostanę tu – gdzie kości przodków
świecą mi w mroku drogowskazem
a miłość pośród innych rzeczy
najwyższym naszym jest rozkazem

gdzie mimo krzyży co jak las
rosną w tej ziemi od stuleci
ciągle nadzieja mimo klęsk
w ciemności naszych zwątpień świeci

i gdzie się święci na kamieniu
rodzą – pod krzyżem polskiej męki
a krematoriów gorzki popiół
Bóg! z polskiej rozsypuje ręki

i na pokutne świata głowy
kładzie – a oni głowy znaczą
kiedy roznoszą w świata gwar
ten Proch pod którym żywi płaczą

zostanę tu – gdzie kości Przodków
świecą mi w mroku drogowskazem
a miłość – pośród innych rzeczy
najwyższym serca jest rozkazem!

Requiem Poloniae

Białystok

więc wam
w tej obroży chyba niezbyt ciasno
śpiewacie po białorusku polskie słowa
mylicie krzyże i ojczyzny
chodzicie od lat do urzędów po upokorzenie
bo z czegoś trzeba żyć a cena nie jest najwyższa...
młodzi malują na murach swoje dewiacje
i zadają się z Europą jak z kurwą
bo łatwiej obejść Dekalog z angielskim spokojem
bez ciernia wstydu i alergii romantyzmu...

Marszałek

opuszczony przez legiony w żelaznym płaszczu pamięci
z czapką nasuniętą na oczy czeka na wiatr historii...
na sobaczy los... na ścianie toalety w internacie szkół
wielkimi literami wypisany dramat młodej Polki
wychowanej między Odrą a Bugiem
„przepraszam, że się urodziłam
więcej się to nie powtórzy...”
w szkolnym muzeum Karol Wojtyła zadaje dramatyczne pytanie!
„czyż może historia popłynąć przeciw prądowi su-
mień...?”

może?

może...?

w rozwalających się domach
z pustych oczodołów okien czas śmierdzi nie pogrzebaną roz-
kładającą się

Historią

Książd Jerzy z twarzą ukrytą w dłoniach związanych szorstkim
sznurem
cierpienia czeka w konfesjonale na Brata Naszego Boga...

Polskie sumienie

polskie sumienie

znowu ci będą pokazywać język
dawni oszuści oraz tchórze
bo kłamstwo znowu jest na górze
w czerwonym rozśpiewanym chórze

to co już dawno wyszarpali
przykryją teraz suknią prawa
z nędzy twojego bytowania
będą się głośno naigrawać

czerwone przyozdobią białym
choć wyszarpane z twojej krwi
Ojczyzno! gdzie dziesięciokrotnie
zdrajca publicznie z ciebie drwi

i gdzie splątane grubą krechą
polskie sumienie ciągle chore
i gdzie konfident obraźliwie
ciągle podpira się honorem...

Polskie sumienie

do kraju tego...

Naród, który zabija własne dzieci, jest narodem bez przyszłości.

Jan Paweł II

w kraju
tak boleśnie doświadczonym przez historię
oborywanym latami przez zdradę i nienawiść
wymazywanym perfidnie z mapy Europy
w kraju ufnych pacierzy i wiary w miłość
rozdzwonionych kościołów i serdecznych ludzi
w kraju gdzie dymiły Oświęcim i Majdanek
gdzie słowo Syberia Katyń czy powstanie
włącza się do codziennych pacierzy
gdzie każdy dzień ma swoją krwawą datę w historii
w kraju który zawsze stał po stronie słabszego
i który walczył o wolność waszą i naszą
i który stawiał drogowskazy z Dekalogu
na bezdrożach zagubionej Europy
w kraju cudów nad Wisłą i cudownych miejsc
niezliczonych śladów Boga i Jego dla nas przyjaźni
gdzie Czarna Madonna trzyma z czułością od wieków
na rękach dziecko
gdzie Jasna Góra świeci jak latarnia
w czasie burz i ciemności
do kraju tego gdzie kruszynę chleba
podnosiło się kiedyś z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba
gdzie matki posiwiałe z tęsknoty
stały latami w progach domów wypatrując powrotu swoich dzieci
w kraju do którego polski papież w codziennej modlitwie
tęskni jak do matki...
zabija się w majestacie prawa własne dzieci...

niech Bóg będzie dla pana miłosierny

pan prezydent rzeczy polskiej
chce pozbyć się obłudy...
podpisując ustawę zezwalającą
na zabijanie bezbronnych

panie prezydencie
mój naród ceni szczerłość
ale dla nas wstrząsające są wyznania
współmorderców i łatwość z jaką pozbywają się
wyrzutów sumienia

panie prezydencie
brak obłudy w pana przypadku
jest jeszcze bardziej przerażający

niech Bóg będzie dla pana miłosierny bardziej
niż pan dla tych NIEWINNYCH...!

polskie rany

(fragmenty)

czasie – gdzie mury łzami płaczą
i gadatliwe są tylko kamienie
tu przychodzimy dniu pokory
aby otworzyć złe sumienie...

wierzba się chyli nas spróchniała
Wisła łą myje brudne dłonie
ptak gubi pióra w szybkim locie
czy taki nam pisany koniec...?

mamimy się kształtami mebli
warczymy ponad kością racji
kto w nas odmieni czas splątany?
i według jakiej deklinacji?

powiedz gdzie nasze miejsce teraz
pod jakim niebem gwiazda nasza
czy ten co z nami został dzisiaj
będzie jak czuły cień Judasza...?

czasie – gdzie wierzba próchnem sypie
Wisła – dnem ciągnie groźne cienie
spraw! – by gałęzią w nas zieloną
i ptakiem – mogło być sumienie!

dziękuję Boże! za bezsenne noce
i głos sumienia co mi spać nie daje
bo wiem – że prawda choć zamordowana
po latach z grobu tak jak Chrystus wstaje!

dziękuję także za ten trud pisania
za pióro krwawe co jak rana boli
bo życie można tylko tak zrozumieć
gdy dźwiga się bezsenną świadomość niewoli

i za niezmienną czujność moich wrogów
co serce ciągle do galopu pędzą
za zrozumienie – że bez Twojej miłości
wszystkie nasze bogactwa okażą się nędzą

za tysiącletnią wiarę tego kraju
i za splątane tak boleśnie dzieje
za myśl wyrosłą w żebraczym przytułku
która sumieniem jak chorągwią chwieje

i za prorocze wizje Króla Ducha
co przez prorocze oczy Słowackiego
widział Go ptakiem nad dachami Rzymu
kiedy znad Wisły wzlatywał do niego

dziękuję Boże! za bezsenne noce
i głos sumienia co mi spać nie daje
bo wiem – że prawda choć zamordowana
po latach z grobu – tak jak Chrystus wstaje!

W Imię Twoje

Katyń

*Do dziś przesładuje mnie ten obraz: oficerowie polscy
na kolanach, ze związanymi rękami kopnięciem strącani
po strzale w tył czaszki...*

Prof. Vincenzo Mario Palmieri

ciągnęły długie zmierzchy... noce i poranki...
ciepły popiół się sypał przez wojenne dni...
o cichej śmierci w lesie jeszcze nikt nie słyszał
a już rosły białe brzozy na męczeńskiej krwi...

oficerowie polscy na miękkich kolanach
z rękami związanymi krótkim szorstkim sznurem
mocnym kopnięciem nogi znad krawędzi dołu
padali w zimną ciemność po strzale w tył czaszki...

niektórzy z czworokątną raną po bagnecie
kładli się na dno głuchej i śmiertelnej rzeki
z płaszczem zarzuconym na zbyt dumną głowę
patrzac przez zaciśnięte śmiertelnie powieki...

a naród ciągle krwawił... czekał ich pomocy...
że przyjdą wyprowadzą z wojennej zawiei
a oni transportami w oslepiłych wagonach
odjeżdżali ku śmierci z gułagów nadziei...

kat ocierał dymiący nóż o płaszcz historii
troskliwie ślad zacierał brzoзовym spokojem
świat budował z milczenia swój niechlubny pomnik
i cieszył się fałszywie zdobytym pokojem...

a w nas gorzko wyrasta po latach świadomość...
tamtych dni... tamtej wiosny... niech im Bóg wybaczy!
że pozbawić nas chcieli najważniejszej rzeczy
tej pamięci rosnącej w białych brzoź rozpaczy...

Czarne kwiaty, 1984 (wyd. podziemne)

ale... niech o tym nikt... nikomu...

i znów nas będzie zżerał głupi lęk
chyłkiem wejdziemy do swych kruchych domów
wolność – w szczelinach naszych chorych serc
umrze – ale... niech o tym nikt... nikomu...

dzieci wyrosną na dusznym milczeniu
blade od strachu i jak kłęcz ku górze
co się do słońca nieprzerwanie wspina
po śliskiej ścianie do otworu w murze

odarci z czułości – drapieżne kaleki
wierzący tylko swoim fizykalnym oczom
przeżyją tylko to co dotkną ręką chłodną
ku czemu z drapieżnymi myślami doskoczą

i podniesiemy w mokrych dłoniach ciszę
na drżących nogach bładą chustę twarzy
rdza – wyżre w naszych myślach ranę – i lęk
nam nie pozwoli już nawet pomarzyć...

będą nas włóczyć od słowa do słowa...
wnosić zarazę od domu do domu...
wolność w szczelinach naszych chorych serc
umrze! – ale... niech o tym nikt... nikomu...

Czarne kwiaty, 1984 (wyd. podziemne)

czarna wiosna

znów czarna wiosna – ból w koronach
wiatr nas pochylił jak słabnące drzewa
wszystko co było dawniej wielkim
w mgłę zimną czarny wiatr odziewa

mali – znów wielcy są próżnością
wielcy – w dolinach zapomnienia
szatan z uśmiechem kiwa głową
znajdując tyle zrozumienia

i dźwigam drzazgę swego krzyża
z bólem się godzę – witam z troską
klęczę wśród lasu zamysłony
gdzie z płaczem cichym krzyże rosą...

Krwawiąca dolina, 1985

wyrok

jesteś skazany na wieczne czuwanie
na popiół godzin na głupców w glorii
na oczu wieczne zasypywanie
– gruzem historii...

na lęk po nocach we własnym domu
duszącą pętlę zdradliwych kroków
na wzbierający głośno pomruk
– krwawych potoków

na oglądanie galopady dziejów
stalowych dziejów bieg szalony
głupców królewskie żrących jabłka
– w błocie korony...

jesteś skazany na wieczne czuwanie
kłujące ciernie pod powiekami
i zrozumienie że to przekleństwo
– idzie za nami...

Krwawiąca dolina, 1985

czy?!

to nic że kłamstwa krata twarda
przedziela nas oziębłym szronem
że ziemi nam przyznali kwadrat
po kilka kroków – w każdą stronę...

że mielą w zębach wciąż patriotyzm
a grzbiety znaczą nam pręgami
że tupią nam wojskowym butem
że wymachują dekretami...!

czy z kłamstwa będzie nasza przyszłość...?!
– wyklęty kiedyś lud powstanie
i otrzepując z kurzu księgi
zada wam twardo to pytanie...!

Obok Kaina, 1984

antyrota

rzucamy ziemię skąd nasz ród...
w bełkocie obcej mowy...
jakiż my naród...?
jaki lud...?
jaki z nas szczep piastowy...?

i choć nam inny pluje w twarz
i karki nam przygina
my zapatrzeni w cudzy blask
wolimy zapominać...

że ojców naszych
w cierniowych koronach
wieźli do nieba
w bydlęcych wagonach...

rzucamy ziemię skąd nasz ród
nikt z chrobrych już nie żyje
a Jaśka Żłoty Róg jak pies
przed pustym domem wyje!

PS

jeśli ten krwotok nie ustanie
z naszej chorągwi biel zostanie...

widomy kres sprzedanych racji
haniebny znak kapitulacji...

złamane drzewce z białą zdradą
nad rozwaloną barykadą...

jeśli ten krwotok nie ustanie
Requiem tylko nam zostanie...

żałobny śpiew nad samym sobą
kredowa twarz nad czarną wodą...

jeśli ten potok nie ustanie...
kto nam zapewni... zmartwychwstanie...?!

Sen Hioba

serce

nie wstydz się mówić... SERCE!
dla nich to nadmiar patosu...
nie wstydz się mówić – POLSKA!
jeśli to sens twego losu...

nie wstydz się mówić prosto
na przekór podstępnyim słowom
nie milcz pokrętnym milczeniem
jeśli cię słowa bolą...!

nie wstydz się zgrzebnej wiary
tak szarej jak twoja ziemia
to z niej wyrasta najgrubsza
gałąź naszego istnienia...

W Imię Twoje

bunt

wybacz mi ten bunt...
przeciwko tym którzy zasłaniają się Tobą
bo wiedzą że jesteś potężny i miłosierny
przeciwko tym którzy eksperymentują na miłości do Ciebie
i którzy uczynili biznes z ludzkiej wiary i nadziei
wybacz mi ten bunt...
przeciw tym którzy uważają się za narzędzie
w Twoich świętych i pokrwawionych rękach
wiem...
że człowiek uczciwy i skromny
pokonany przez zdradę
potrafi zrozumieć cierpienie drugiego człowieka
wybacz mi ten bunt...
który jest buntem przeciw zakłamaniu tych
którzy z krzyża próbują zrobić błyszczącą broszkę
do sutanny czy świątecznego garnituru
wybacz mi ten bunt...
jestem człowiekiem który wierzy w Ciebie jak w Boga!

Trzecie piane koguta, 1996

kiedy mówią znów kamienie

świece płaczą po kościołach
znów rocznica listopada
czarne skrzydła noc opuszcza
niczym kruk na sercu siada

Matka Boska z ciemną twarzą
patrzy na nas zamyślona
coraz cięższe do noszenia
polskie berło i korona

w testamencie krwią pisany
czas zaciera blade twarze
przed ołtarzem stos złamanych
jak chorągwie wielkich marzeń

świece płaczą łez różańcem
wiatr od wschodu nimi chwieje
osłoń Matko swymi dłońmi
jak te świece w nas nadzieję

w głąb las krzyży jak ściernisko
najbogatszy z naszych pól
roztrwonione nasze czasy
i spuścizna Jagiellonów

w ocalonym krajobrazie
tylko orzeł pręży szpony
choć głąpcy go odarli
ze świetności i korony

świece płaczą po kościołach
słysząc tęskne rzenie koni
bo Marszałek znów w mundurze
polską szablą larum dzwoni

znów listopad w mokrych włosach
zatrzaśnięta wieków brama
za kurtyną słycać szmery
nie skończony polski dramat...

płaczą świece po kościołach
przeciekają krypt milczenie
słycać tętno wielkiej Polski
kiedy mówią znów kamienie...

Kiedy mówią znów kamienie, 1989

dom na rozdrożu

*Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
na próżno człowiek swe głosy natęży.
Choćby miał siłę i odwagę męża,
z niemilowania umrze tak jak z głodu.*

Juliusz Słowacki

bo teraz kiedy wszyscy biegają po świecie
i dom nasz na rozdrożu otwarty na przestrzał
próbuję czy konstrukcja jest na tyle mocna
by mógł się wreszcie spełnić sen polskiego Wieszcza

co przez wieki strudzony drogami pielgrzymstwa
z nadzieją często krwawą zasypiał krzyżami
gdy los go mściwie włóczył kibitkami lęku
nim się wreszcie zlitował i westchnął nad nami

by wszyscy mogli wrócić do domu nad Wisłą
z antypodów tęsknoty z syberyjskich śniegów
kiedy staną i w progu wyżnionego domu
zadzwonią głośno sercem zdyszani od biegu...

lecz my zapominamy ogień w domu palić
drzwi otwarte na przestrzał chłód po kątach siada
pod oknem umierają już ostatnie malwy
i ostatnia o wierności milcząca ballada...

kocham ją tak jak umiem... tego się nie wstydzę...
kocham ją staromodnie za groby i krzyże
słowa – z którymi prosto jak ścieżką w dzieciństwie
biegłem ufnie do domu bo... było najbliżej...

do szorstkiej dłoni ojca i do kolan matki
tej kołyski nadziei i wzgórza ufności
tu mozolnie sklejałem okruchy historii
i uczyłem się trudnej do ziemi miłości

tam gdzie płomień gromnicy zatrzymywał burze
a modlitwa była dachem w czasie zatroskania
gdzie chodził Pan Tadeusz uczyć nas polskiego
a Sienkiewicz przed zwątpieniem trylogią osłaniał

pamiętam jak Słowacki... blady i nerwowy
z oczami płonącymi... ciężkimi jak ołów
wśród swoich bohaterów jak księżę niezłomny
przez sny me przelatywał wśród swoich aniołów

gdzie Norwid nastroszony świece nocą palił
przynosił czarne kwiaty i błądził wśród cienia
i szeptał mi płomiennie swoje Vademecum...
i wypruwał krwawą nitkę z polskiego sumienia

kocham ją tak jak umiem... sercem nie rozumem
często się nią upajam jak zbyt mocnym winem
niczego od Niej nie chcę... pragnę tylko tego
by kiedyś potwierdziła że byłem Jej synem...

jak ci co spod kamieni w skrwawionych sutannach
testament nam pisali gdzieś spod Suchowoli...
i teraz ich nosimy w obrzęklej pamięci
jak drzazgę która jeszcze przy wysiłku... boli...

Sen Hooba

spotkanie z Polską na dworcu w Katowicach

przyjrzyj się Polsce... gdy senna nad ranem
sypia na stołach w najpodlejszych barach
i gdy odarta z przykazań i wstydu
wiesza łyzy nędzy na nocnych zegarach

gdy w kłębowisku brudu i bełkotu
szuka nadziei w dudniących pociągach
i drży w łachmany owinięta skąpe
między przejściami w zdradliwych przeciągach

przyjrzyj się chwilę... patrz! jak obojętnie
i z obrzydzeniem przygląda się biedzie
i dla spokoju nie tylko świętego
kłamliwy dialog z Dekalogiem wiedzie

gdy wygrzebuje z kieszeni obłudy
kruche dowody minionej wielkości
i wypatruje w ulicznej latarni
błyszczącej gwiazdy swojej pomyślności

a zapomniana na stacjach pogardy
sypia po kątach chora od zmęczenia
bo dojść nie może by spytać o prawdę
bo zapomniała swojego imienia...

przyjrzyj się Polsce...! Boże sprawiedliwy!
wyrzeb z łachmanów to co w niej jest bólem
abyśmy mogli jak dotknięci cudem
rzucić przed ołtarz... protezy... i kule...

Sen Hioba

koło historii

koło historii się obraca...
pamięć uwiera... ból powraca...

tej zimy wielkie stada wron...
nadają śpiewom... czarny ton...

od wschodu z wiatrem zapach krwi...
trzeba pilnować... naszych drzwi...

znów nasze wnuki się dowiedzą...
że o historii... nic nie wiedzą...

że pod liszajem białych pól...
zdrajcy ukryli... celność kul...

nadejdzie znowu hańby pora...
gdy umrze wolność... wstanie zmora...

i aż po krańce Europy...
los będzie włóczył... krwawe stopy...

koło historii się obraca...
pamięć uwiera... ból powraca...

stanie nad Wisłą durny Wania...
bolesnym znakiem... zapytania...

kto nie rozumie Dekalogu...
temu jest kością... myśl dialogu...

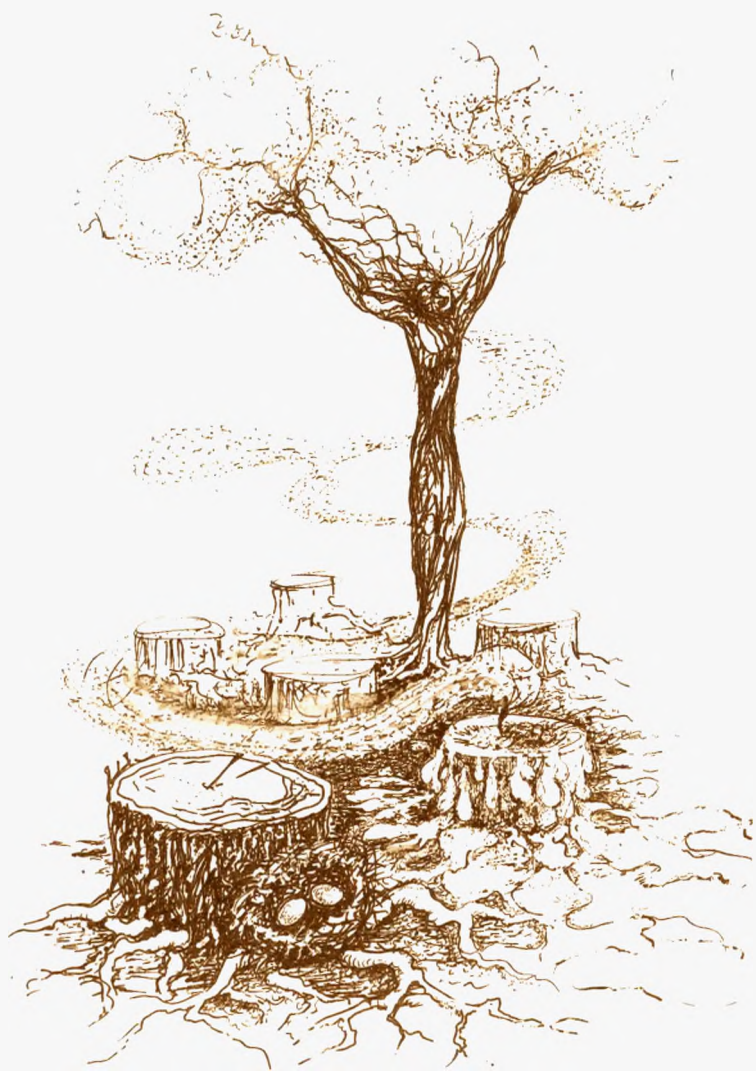
ten szczerze kaftan pozapina...
by ukryć krwawy... znak Kaina...

ten krzyż połamie w znak szatana...
aby nas rzucić na kolana...

będzie wyciągał krwawe szpony...
dwugłowy orzeł do korony...

koło historii się obraca...
pamięć uwiera... ból powraca...

Polskie sumienie



budzenie koguciego piana

obawa

boję się że nas cynicznie
ktoś jak dawniej i teraz okłamie
i że będzie po nas milczało
puste słowo... i drzewo... i kamień...

że nam znowu ułożą życiorys
i kontekstem precedzą nam słowa
twarz odcisną na kartkach pobladłych
aby była jak... maska gipsowa...

i będziemy milczeli przez lata
pod całunem śmiertelnej bieli
porzuceni w śmietniku Historii
póki knebla w nas czas nie spopieli...

W Imię Twoje

nie wyrzeknę się marzeń

I

choć często drwiną i mściwym milczeniem
za wierność płacisz nienawistnym czasem
stoję u węgła rozchwanego domu
w miejscu – gdzie inni porastają lasem

i nam jak drzewom uczepionym ziemi
w splotach korzeni świeci nasza gwiazda
gdy burza znowu będzie giąć korony
i zrzucić gniewnie ciepłe jeszcze gniazda

tu zostaniemy na przekór losowi
choć może garścią spróchniałego drzewa
spoconą dłonią po naszym wysiłku
i struną trawy – co po nas zaśpiewa...

II

i ciągle jeszcze czuwam u odległych granic
choć skrzydła mnie już bołą od długiego lotu
choć w oczach mi się mgłami krajobrazy stroją
i zorze duszne palą od krwawego potu...

i ciągle jeszcze idę z wiernym przekonaniem
że mi domem Twe słowa ojczyźniana mowo
podparta chopinowską roz tęsknioną nutą
i parzącą jak płomień lirą norwidową...

i ciągle jeszcze czuwam w rytmie Twoich sylab
w dorzeczu czulej pieśni po niebieski dach
w wierzbach rozczochranych ponad Twoim brzegiem
i w co wieczór o potędzie wracających snach...

III

nie wyrzeknę się marzeń – tej pogody serca
która wraca po burzy do soczystych pól

tej iskiejki płonącej w ciemnym mroku trwania
świecącej poprzez lata – przez życie i ból

chciałbym zasnąć spokojnie – niech mi Bóg! pomoże
ocalić żdźbło marzenia – ów okrucz błękitu
gdy jeszcze raz ostatni za siebie popatrzę
w doliny z których szedłem niesyty zachwytu

tam o zmroku świeciło moje krwawe pióro
gdym je z trudem przymierzał – samotnie wśród gór
tam mi Bóg – bym nie oślepl – cierpliwie odgarniał
złotym palcem znad czoła – ciemną grzywę chmur...

Czarne kwiaty, 1984

*Co nam zdrady! – Jest u nas kolumna w War-
szawie,
Na której usiadają podróżne żurawie.*

Juliusz Słowacki – Uspokojenie

co nam zdrady!
jest u nas kolumna w Warszawie...
ale nie pamiętam jakiej
ona służy sprawie...
 hałas taki pod zamkiem
że jedynie wrony
siadają i paskudzą
strzepując ogony
na naszą rzeczywistość...
 czasem rozżalony
przemknie o kulach
jakiś patriota
ale go nie dopuszczą
pod żelazne wrota
bo zamknięte na kłamstwa
ciężki skobel bramy
gdzie tępy mundurowy
z pogardą patrzy
dziś na plac zamkowy
bo marzy mu się plaża
gdzieś nad ciepłym morzem
nad które jadą zdrajcy
tym dopustem Bożym
że tu ich jeszcze straszą
Bogiem i honorem
jakimiś symbolami
i pokutnym worem
historią co splątane
miała zawsze dzieje
i dziś płata przywódcom
zbudzone nadzieje
a oni są dla świata

już obywatele
demokratyczne i szczytne
prezentując cele
i świat to uszanuje
taka to jest pora
bo tak mu jest wygodniej
na światowych forach
dyplomatycznie rozmawiać
z domniemanym zdrajcą
ale tak nazywanym
tylko tu nad Wisłą
gdzie chorobliwe fobie
nosi wiatr ze wschodu
i dzwoni łańcuchami
na nogach narodu...
...co nam zdrady!
jest u nas kolumna
w Warszawie
lecz teraz nie wiadomo
jakiej ona służy sprawie
bo to już w niepamięci
są u nas żurawie
co siadały by spocząć
zmęczone powrotem...
bo zdrajcy samolotem
w ciepłe kraje latają
a tam zabytki starsze
i kolumn tak wiele
ze ta warszawska skromna
drodzy przyjaciele
nie wzrusza już nikogo
kto światowym się oddał
podróżom i drogom...
wracają więc owiani
kadzidłem zachodu
by plunąć pogardliwie
pod nogi narodu
co zapomniał

że zdrajcom
wzburzone ulice
stawiały nie pomniki
ale... szubienice...!

co nam zdrady

Juliuszu!
romantyczne wizje
w historii zdepczą później
pancerne dywizje
co pójdą po zagonach
naszych bez litości
i dlatego w mym sercu
nie uspokojenie
ale myśli tak ciężkie
jako te kamienie
co spadają z wysoka
jako na ścierwo sępy
powodując w mym sercu
żal i ból tak tępy
że nie potrafię myśleć
dzisiaj bez rozpaczy...

to hańba!

której naród
jeśli nie zobaczy
i nie zmyje jej z siebie
to i Bóg go jak kiedyś
opuści w potrzebie
i na żadnym się nigdy
nie pokaże niebie
bośmy cudu nie warci...

wybacz Panie Boże!

że zwątpienie szeroko
jak wzburzone morze
zalewa we mnie wszystko
co było nadzieją...

że się we mnie

w posadach
ściany domu chwieją

w którym zdrajca
zagasił święty ogień
wiary...

 a myśmy uwierzyli
w kłamliwe dolary
i w zdrajców obietnice
i głupie przebranie...

 wybacz Panie Boże!
to ten chłód z Gułagów
tak mi serce chłodzi
że mi dreszcz
niczym żołdak
dziś po plecach chodzi
 że mi brzozy Katynia
rosną w sercu głuchym
 że się tłuką po nocach
moich przodków duchy
a ja nie umiem zasnąć
snem sprawiedliwego
w Imię Ojca i Syna
i Ducha Świętego!

 wybacz Panie Boże!
wyszarpuję tę drzazgę
co gnije w honorze
i co pręgą czerwoną
nasze ciało orze
a myśmy coraz słabsi
uwikłani w spory
gdy tymczasem czerwone
łapy polskiej zmory
trzymają nas za gardło...

 bądź zatem łaskawy
i pomóż nam odnaleźć
kolumnę Warszawy
co będzie w naszym sercu
strzegła polskiej sprawy
i w Rzymie nie będziemy
stać z rumieńcem wstydu

a Tobie Juliuszu!
coś z proroczych zwidów
przywołał nam Papieża
mówię że niespokojnie
serce mi uderza
i stoję przed Twą myślą
w gniewnej metaforze
i do Ciebie się zwracam
Dobry Wielki Boże!
byśmy wreszcie stanęli
na swoich zagonach
w blasku prawdy
co będzie w końcu wywyższona
ponad przekleństwo
głupoty i zdrady!

Trzecie pianie koguta, 1989

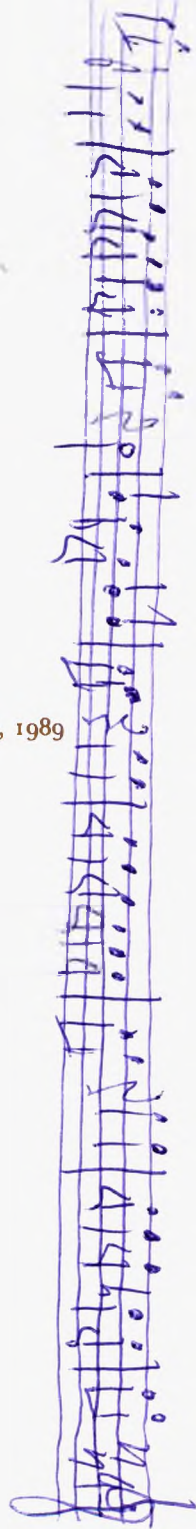
już nie będzie...

już nie będzie cudu nad Wisłą
czas nie będzie miał dla nas utości
raz się zdarza na tysiąc lat
taki cud darowanej wolności

drugi raz Bóg nam nie da papieża
drugi raz Złoty Róg nie zadzwoni
drugi raz nie zerwiemy z gwoździ
pokrwawionych niewolą dłoni

już nie będzie cudu nad Wisłą
pozostanie nam mózół i ból
i anioły zmienione w kamienie
rozrzucone wśród polskich pól...

Tęczyce pianie koguta, 1989



więc tak

więc jak nam żyć gdy zdrajcy w domu
bawią się naszym polskim losem
i gdy sprzedano już marzenia
i w sercu gorzki popiół niosę

kłamcy w łańcuchach w ławach w togach
szarpią czerwone oraz białe
ze wschodu barbarzyńca głośno
przeklina naszych ojców sławę

więc jak nam żyć gdy zdrajcy w domu
plugawią domu święte prawo
i jak rzuconą kartą w świecie
grywa się znowu polską sprawą

Trzecie pianie koguta, 1989

portret matki z dzieckiem na tle środkowej Europy

w ten brudny zawszony lachman

wciśnięty między

Pierwszy

a

Drugi peron

– zawinięta jest kobieta...

między lokalnym do Puław

a

międzynarodowym do Berlina

między litością

a

obrzydzeniem

próbuje ogrzać swoim ciałem

to co jest jeszcze jej własnością

– głodne rachityczne dziecko

którego oczy jak świętojańskie robaczki

szukają w mroku obojętności

iskierki nadziei...

– i Ona mogła być kochaną kobietą

– i Ono mogło być radosnym dzieckiem...

wyrzuceni na śmietnik Historii

z zawieszoną na piersiach

wymiętą kartką z Pisma Świętego

którego nie potrafimy odczytać

– siedzą w przejściu do Europy między

Bugiem Pogardy

a

Odrą Marzenia

między Pierwszym

a Dziesiątym Przykazaniem

w przecięciu ramion...
w sercu Europy...
w Rodzinie Narodów...

Sanatorium po drugiej stronie nieba, 1993

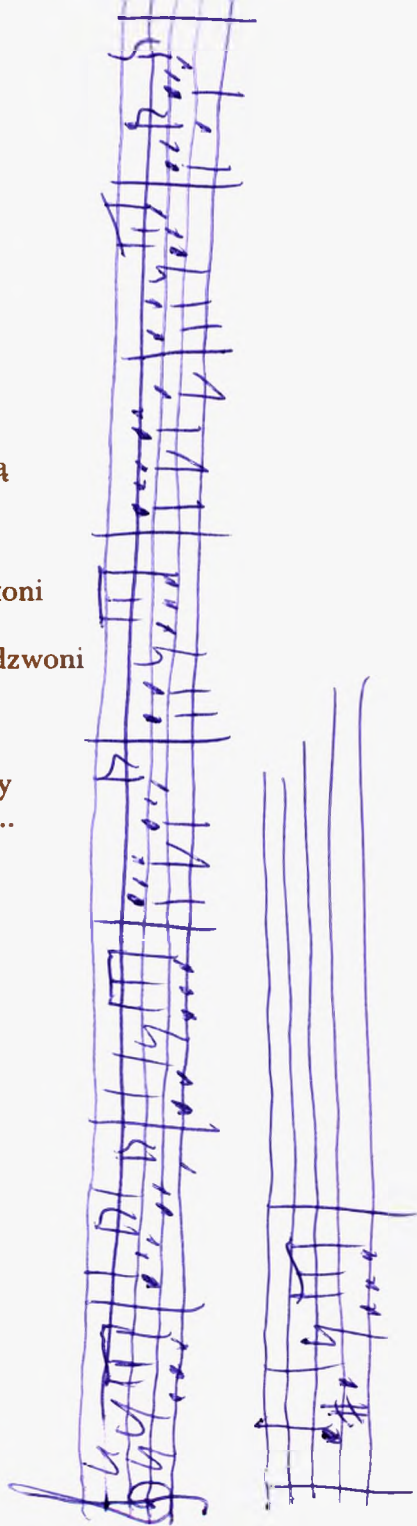
czekanie na człowieka

leży skulony łach człowieka
przy naszej drodze ku wolności
i z obrzydzeniem go mijamy
zapominając o miłości

zawszony w strupach zakażony
samotny głodny zapomniany
z kartką na piersiach poszarpaną
bolesną jak krwawiące rany

siny od chłodu i pogardy
z drżącym jak listek krzykiem dłoni
z oczami jak złamane skrzydła
z puszką co dzwonkiem trwogi dzwoni

leży skulony łach człowieka
z iskierką co się wewnątrz jarzy
że w tłumie co przechodzi dojrzy
Człowieka o człowieczej twarzy...



testament samobójcy

*Budzą się czasem nocą, co szeleści trwożna
I w przerażeniu widzą świat mniejszy od serca.
Uciec z niego inaczej, jak przez śmierć, nie można.*

Stanisław Baliński, *W drodze*

I
moja blada Przyjaciółko!
cierpliwa i wyrozumiała
silna jak białe skrzydło
któremu bezgranicznie zaufałem w locie ku słońcu
bezpieczna jak ramię matki w które padały moje dziecięce lzy
wyrozumiała jak białe szpitalne prześcieradło
którym przykryjecie moje zmęczone oczy
czuła jak całun ze śladami krwi na umęczonej twarzy

moja najwierniejsza Przyjaciółko!

tylko ty będziesz ze mną do samego końca
choć blada jak śmierć...
blada...
jak...
śmierć...

II
już nie uciekam
oswoilem lęk jak dzikie zwierzę
które patrzy na mnie krwawymi uległymi oczami
zmęczone walką i bezustanną ucieczką
w srebrnym kandelabrze głowy
rozchwiane płomyki oczu przesuwają cienie niepokoju

nakładam złotą ramę lustra
na pośmiertny portret

III
milczę coraz dłużej
milczę coraz dotkliwiej
teraz już czuję wagę każdego słowa

gdy coraz trudniej oderwać stopy od krawędzi
za którą już tylko

wolność	śmierć
lub	lub
śmierć	wolność

IV

Panie!

przynoszę połamane skrzydła
wzleciałem na nich kilka razy
nad codzienną szarość
nad krzyczący tłum
nad moje ukochane Beskidy
nad podłość tego świata...

Panie!

przynoszę połamane skrzydła
bo nikt nie potrafi ich naprawić
a tak chciałbym jeszcze raz popatrzeć z lotu ptaka
na miejsce w którym krwawią na beskidzkim zboczu
dojrzałe jarzębiny...

V

jeszcze wczoraj uśmiechałaś się
że jestem taki beztroski
że jestem taki niepoważny
że bujam ciągle w obłokach
że nie wiem czego chcę
że jestem kąpany w gorącej wodzie...
jutro będę chłodny jak kamień w górskim potoku
gdy przepłynie przeze mnie chłodny strumień czasu

i
śmiertelnie poważny
dotknij tylko moich lodowatych rąk
zaplątanych w różaniec modlitwy

i
marmurowego czoła
z wielką woskową pieczęcią...

VI

może i naplujecie na mój grób
na moją rozpacz
na moją samotność
na moją pamięć
na moje wiersze
na moją miłość
na moją Polskę
może i naplujecie...
ale Prawdę i tak zabiorę
ale serce i tak zabiorę z sobą
by zmartwychwstały choćby przy końcu świata
gdy Bóg stanie po mojej stronie Beskidów
z czułą wagą
sprawiedliwości

VII

w żadnym z czterech kątów serca
nie miałem spokoju...
płatałem długie rękawy szaleństwa
śledziłem zazdrośnie wielkiego ptaka wolności
wyszarpywałem niebo przez żelazne kraty niewoli
a po tamtej stronie można spokojnie patrzeć na:
miłość i nienawiść...
radość i ból...
rozpacz i zachwyty...
krzyk i milczenie...
wierność i zdradę...
postanowiłem więc odejść
bo po tamtej stronie nieba panuje śmiertelny
spokój...

VIII

płakałem po nocach
płakałem przez całe życie
bo czułem dotkliwy ból
bo czułem swoją samotność

bo byłem jak dzwonnik z Notre Dame
przywiązany do sznura losu
którym kołysałem skrwawionymi rękami
swoje chore
pęknięte
serce...

IX

przy pożegnaniu nie będzie nikogo
będę sam rozmawiał z rozedrganym cieniem
układał ostateczne argumenty by przekonać samego siebie
że śmierć była jedynym sensownym wyjściem
przez szczelny kordon pozorów...

X

zamiast testamentu piszę czarny wiersz
pisałem przez całe życie
jeszcze rozmawiam gderliwie z zegarem
w krzyżach okien noc w czarnej sukni
milczy rozpaczliwie jak żałobnica
słyszę jak skrzypią boleśnie wyłamywane ramiona krzyża
wieczne odpoczywanie...

Chryste Panie!

Chryste...!

Panie...!

XI

złotymi literami wypisujemy daty
i układamy się bez słowa ciasnymi szeregami
pod warstwami gładzonych rozplakanych kamieni
pod ramionami próchniejących krzyży
w cichym płaczu brzoźowych lasów
i papierowych kwiatów
wiemy
że tylko śmierć jest argumentem przed którym wszyscy
pochylamy rozplamienione
głowy...

XII

umarły ptaki moich wierszy bo ziarna pogardy jak trucizna
zabiły je w locie

umarły ptaki moich słów bo w pustej klatce obojętności
nie było okruchów wiary

umarły ptaki mojej nadziei bo nie mogły rozprostować skrzydeł
w zbyt ciasnej klatce zła

umarły ptaki moich wierszy...
umarły ptaki moich słów...
umarły ptaki mojej nadziei...
umarły ptaki mojej wiary...

zostawiam wam zatem jedynie pusty wór mojego ciała
i
palące słońce marzeń

i
roztopiony воск pewności
i
rozsypane pióra skrzydeł
i
znak krzyża wbity po ramiona
w beskidzkie
zbocze...!

monologi Ikarą

*Breughel, co osuwał
pojmując ludzi, oczy im odwracał
od podniebnych dramatów. Wiedział, że nie gapić
trzeba nam się w Ikarę, nie upadkiem smucić
– choćby najwyższy...
A swoje ucapić.
Czy Dedal, by ratować Ikarę, powrócił?*

Ernest Bryll, *Sztuka stosowana*, 1966

I

nie bój się synku! rozprostuj ramiona!
bo to nieważne że skrzydła koślawe
wolność wymaga wielkiego wysiłku
zanim wysokim stanie się prawem

zanim popatrzysz na ziemię z wysoka
nieraz zapłaczesz krwawymi łzami
w śmiertelnym lęku przebity zwątpieniem
bijąc do bólu o pustkę skrzydłami

nie bój się synku! rozprostuj ramiona!
bo tylko wiara do nieba nas zbliża
popatrz na niebo wówczas zobaczysz
ptak bywa w locie podobny do krzyża...

II

zanim oderwiesz stopy od ziemi
to skrzydła zlepisz krwią i potem
i musisz często to co było klęską
nazwać z goryczą... że to było... lotem!

będziesz wypełniał testament marzenia
pozostawiony przez tych co przed tobą
popatrz! jak wiele połamanych skrzydeł
wpisanych w kamień dziś kłania się grobom

popatrz! jak ziemia usłana skrzydłami
tych którym brakło i wiary i męstwa

tych co polegli w walce z marzeniami
bo nie pisane im były... zwycięstwa...!

III

wyłamywali mi przez lata skrzydła
wyszarpywali pióra aż do krwi
ale mi niebo było bliższe
i tam szukałem do wolności drzwi

wolałem nieba tajemne przestrzenie
choć śmiertelny to był trud
choć wiedziałem że te skrzydła
i że ta wolność... to jest cud...!

że wszystko będzie mi przeciwne
że będzie mózół oraz ból
ale wolałem to marzenie
bardziej niż każdą z ludzkich ról...

IV

i cóż że skrzydła mam ogromne
gdym niebo widział pocięte kratami
a teraz mam je już tak słabe
że nie uwierzę w loty nad gwiazdami

będę więc tutaj przypisany ziemi
zostawiał ślady krwawych stóp
już nie pisane mi przestrzenie
– między gwiazdami srebrny grób

i cóż że skrzydła mam ogromne
te skrzydła teraz to jak tobół
które mi wrosły niczym garb
abym je nosił aż po krwawy mózół

V

tutaj mi rosły nieraz wielkie skrzydła
nie raz skrzydlata była moja mowa

ale gdy chciałem wzlecieć jeszcze wyżej
los mi je łamał z trzaskiem wciąż od nowa

i zaczynałem drogę znów od bólu
znowu mi ciążył wielki ciała wór
znów były w locie nie do pokonania
wysokie strome groźne zbocza gór

tutaj mi rosły nie raz wielkie skrzydła
lecz niewysokie było moje trwanie
gdy sił nie miałem aby unieść w niebo
chorego serca wielki ciężki kamień...

VI

ja swoje skrzydła zamówię u tego
co sam skrzydłami jest z natury
który nas widzi pełzających wolno
a sam już dawno na nas patrzy z góry

ja swoje skrzydła zamówię u tego
co sam ujarzmił niebieskie przestrzenie
muszę się tylko przebić nim wyruszę
przez to śmiertelne nieludzkie milczenie

ja swoje skrzydła zamówię u tego
co mnie nauczy lotów nad gwiazdami
wiem że przygląda się naszym marzeniom
gdy się zmagamy z naszymi krzyżami...

VII

tu naszych marzeń skrzydła potraskane
leżą legendą na cierlickiej górze
a od południa ku granicy lecą
nasze tęsknoty na świetlistej chmurze

i ponad Olzą naszego rozdarcia
ponad Rotundę i Wzgórze Zamkowe
płyną wzruszenia aby znów się polskim
tak jak przestrzenią nacieszyć Słowem

i z tej legendy odwagi i skrzydeł
marzeń wysokich jak loty Ikara
ciągle w nas rośnie w szumie skrzydeł
biało-czerwona potargana wiara...

VIII

te drzazgi jak relikwie leżą w Polskim Domu
wokół nich nasza pamięć oraz trudna wiara
bo tu zrozumieć możesz dziś najpełniej
wielkość i dramat – i siłę Ikara...

nasze tęsknoty i sny o wolności
nasze mozolne polskie budowanie
gdy trzeba było z drzazg ocalać
to co tworzyło narodową pamięć...

te drzazgi jak relikwie świecą w Polskim Domu
poprzez mrok naszych zwątpień – przez góry niemocy
i szumią w nas skrzydłami ocalonych marzeń
pośród każdej w historii z nadchodzących nocy...

IX

będziesz się szarpał by wzlecieć do nieba
sądząc naiwnie „inni mi pomogą”
pozbadź się złudzeń! bo będziesz samotnie
zmagął się zawsze z nienawistną drogą

inni się będą odwracać plecami
od twoich tęsknot... upadków i marzeń
nikt się nie wzruszy gdy runiesz śmiertelnie
wśród tylu co dzień nadchodzących zdarzeń

będziesz się szarpał by wzlecieć do nieba
sądząc naiwnie że świat ci pomoże
już stary Breughel dał na to odpowiedź
ten pozostanie... kto spokojnie orze...

X

wolałem tutaj gdzie bliżej do nieba
próbować skrzydeł wśród beskidzkich groni

tu było bliżej gdym upadał z lękiem
do Boga mocnych i przyjaznych dłoni

tu było łatwiej łapać w skrzydła wiatr
kiedy przez niebo płynęły obłoki
i gdy Historia zamazyście szła
roznosząc swoje bezwzględne wyroki

wolałem tutaj choć byłem samotny
zмагаć się z sobą przestrzenią i losem
choć i tutaj podobne do krzyża
te swoje skrzydła poprzez niebo niosę...

modlitwa

Boże! każdego kamienia
Panie! każdego drzewa
zamknięty w kropli deszczu
wysoki w ptasich śpiewach

Boże! zielonych Beskidów
dolin i gór nad nami
pozwól mi pieśń dokończyć
zanim odejdę z mgłami

Boże! każdego stworzenia
Panie! mojego narodu
ogrzej nas w swoich dłoniach
jak zimny kawał lodu

Boże! życia i śmierci
Panie! wszelkiej nadziei
pochyl się znów nad nami
w godzinie ślepej zawiei

Czarne kwiaty, 1984



moje malowanie słowem i milczeniem



moje wiersze

moje wiersze to coraz częściej
proste listy do Pana Boga
już nie biegam jak dawniej za światem
po splątanych zdradliwych drogach

już nie szukam za siódmą górą
mojej wiedzy o szczęściu człowieka
przez każdego z nas przecież przepływa
najdziwniejszych tajemnic rzeka

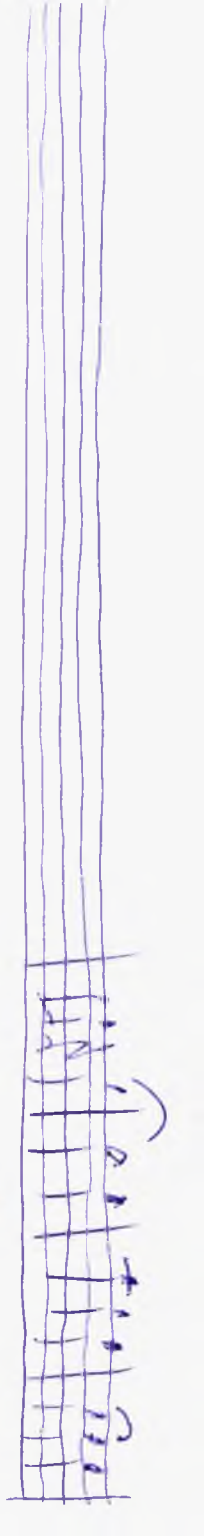
tyle cierni kaleczy nam nogi
tyle pytań języki nam wiąże
mam nadzieję że nim upadnę
do Twych kolan dobiegnąć zdążę

że zapiszę najczulej jak umiem
moją miłość do ziemi i ludzi
i że serce się moje nie darmo
razem z wami o prawdę tak trudzi

coraz częściej podnosi mnie z kolan
zaufanie do Bożej harmonii
kiedy strofa na przekór rozpaczy
złotą struną ufności mi dzwoni

i wieczory jak sopran wysokie
zaplątane w radościach i trwogach
kiedy piszę z zakątka Beskidów
moje listy... do... Pana Boga!

Dom na przełęcz



epitafium

każdy swej ziemi winien jest kropelkę potu
i jedną chwilę trudu – i kropelkę krwi
nim nas ziemia przetrawi – zanim garścią piachu
los nas rzuci – i zamknie do wieczności drzwi...

te kropelki zostaną w krwiobiegu pokoleń
ocalonym słowem – pamięcią – korzeniem
jak kamienie Rotundy – jak Zamkowe Wzgórze
co wrastają w tę ziemię pod polskim imieniem

budowanie przyszłości to jest trud śmiertelny
gdzie kamień wrasta w słowa a słowa w kamienie
i nie ma innej drogi jak za cenę życia
którą wszyscy składamy po ostatnie tchnienie

każdy swej ziemi winien jest kropelkę potu
i jedną chwilę trudu – i kropelkę krwi...
nim nas ziemia przetrawi – zanim zapamięta
choć jeden z darowanych jej historii dni...

doświadczenie

potrzymaj rękę nad płonąca świecą
tak byś zrozumiał – i ogień – i ból...
nim w obojętność popadiesz i pewność
że nie dla ciebie długie baty kul...

że nie dogoni cię tamto cierpienie
boś jest bezpiecznie przecież oddalony
że to spokojny dotąd świata ką
i że nie będziesz jak oni spodlony

i że nie będziesz wyschnięty na wiór
jak ci wygnani przez wojnę i głód
i obojętność świata od którego wieje
często nieludzki i śmiertelny chłód

popatrz na krzyża skrwawione ramiona
tam Bóg swym ciałem uświęcił cierpienie
gdy przeszedł drogę człowieczego losu
nim go po śmierci przykryli kamieniem

nim zrozumieli że Bóg był człowiekiem
a Jego ludzka i męczeńska droga
była stawianiem ludziom drogowskazów
jak przez cierpienie prosto dojść do Boga

potrzymaj rękę nad płonąca świecą
tak byś zrozumiał że cierpi i ktoś
nim się odwrócisz do bliźnich plecami...
zanim się złamie krucha świata oś...

w cień Tatr...

(poemat)

*Kto tu obraz swych uczuć malować się sili,
Ten sobie zbyt pochlebia i innych omyli –
Jam tu więcej nie poznał, tylko troje:
Wdzięk natury, moc Boga i nikczemność moję.*

inskrypcja wedle współczesnych świadectw wyryta na początku XIX wieku na jednym z kamieni nad Morskim Okiem

I

Boże! i znów te chwile – te godziny złote
i czułość pod powieką co budzi nadzieje
więc jak mam nie dziękować gdy tak blisko stoisz
że oddech Twój jak halny ogniem serca chwieje

jak mam Ciebie nie wołać wciąż radosnym głosem
gdy pozwalasz mi patrzeć hardo i czupurnie
a skrzydło mojej wiary wyrosło tak mocne
że unosi mnie ptakiem w locie aż pod turnie

bo ja chcę być szczęśliwy tylko w swoim kraju
bo gdziekolwiek będziemy i gdzie los nas rzuci
to nie woda – ni ogień żelazo – czy kłęska
ale myśl Twoja jedna do domu nas wróci...

II

bo przecież ją widzieli w najciemniejsze noce
i ona im świeciła jasną igłą wiary
gdy trzeba było w życiu wytyczać kierunek
bez słowa jej składali najcenniejsze dary

i nigdy nie myśleli że ona macochą
że można ją zostawić – bo jest zbyt surowa
umierali z tęsknoty po kątach Europy
dźwigając jak opłatek – kruche polskie słowa

a ja jestem tu po to byś się mógł zawstydzic
gdy w oczy ci popatrzy w chwili zapomnienia
a wiersz ten był jak Giewont co wlecze za sobą
nieodstępny i długi groźny cień sumienia...

III

kiedys przecież czas przyjdzie aby nam powrócić
z różnych zakątków świata z plecakami winy
przyjdziemy cieniem ojców ze skruczą się kłaniać
skuleni niczym wątlý las kosodrzewiny

z Ameryk – Australii – Europy – czy Azji
pod chwiejnym żaglem serca śmiertelnie strudzeni
będziemy niczym ptaki szybować ku tobie
by wypełnić testament tęsknoty do ziemi

do ziemi co się cieniem kładła nam pod oczy
bieliła wokół skroni śniegiem jak korona
co stała w naszych sercach jak krzyż nad Tatrami
gdy otwiera szerokie przyjazne ramiona...

IV

tu wrócimy gdzie góry wyniosłe po zachwyty
za plecami nam rosną oparciem wysoko
a doliny jak pudła odłożonych skrzypiec
milczą głucho choć kryją melodię głęboką

stąd będziemy spoglądać hardo i spokojnie
gdy nam przyjdzie kiedys przeciąć węzeł długich dróg
tu nam Giewont w milczeniu i nisko się kłania
cieniami które podchodzą pod śmiertelny próg...

tu wrócimy gdzie góry wyniosłe po zachwyty
staną oto za nami znów surowym Bogiem
i gdzie werble nam głośno ostatnie zagrają
żałobnego marsza – ponad skalnym progiem...

Dom na przełęczy

srebrne preludium

nad Beskidami
proszy Bóg gwiazdami
wiatr srebrny biegnie
przez jasne doliny
patrzę przez okno
płynie srebrna mgła
i dłoń mi tuli
zimnym pocałunkiem

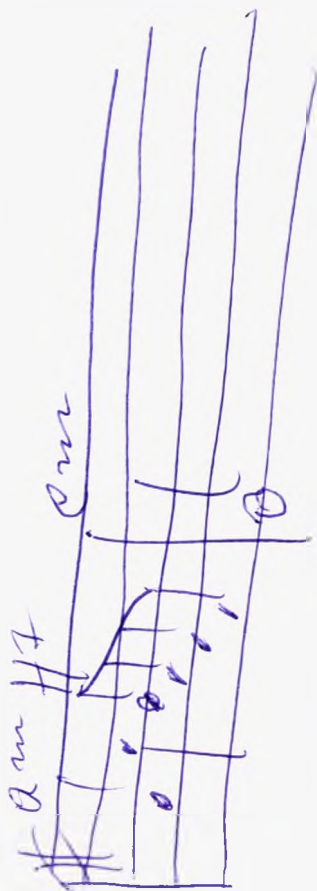
nad Beskidami
wieje Bóg gwiazdami
nieba dziurawy
diamentowy wór
świerk srebrnym palcem
w czarnym fortepianie
budzi muzykę
zamyślonych gór

nad Beskidami
pada Bóg gwiazdami
mknie srebrna zamieć
przez kartkę i stół
patrzę jak płynie
wielki cień po ścianie
przez strunę srebrną
rozdarty na pół

nad Beskidami
dzwoni Bóg gwiazdami
słyszę jak rośnie
serca wielki krok
jak się potyka
łękliwie o ramię

i kroplą srebrną
cicho spada...
...w mrok...

Dom na przełęczy



Beskidy

(krajobraz wewnętrzny – poemat)

oto tyle pagórów zbiegło się do siebie
tyle dolin się krwawi w kalinach i głogach
halny tędy przebiega szybko sarnim tropem
gdzie przez przełęcz się wspina jego szumna droga

z tej miłości do lasu i kojącej ciszy
samotności i wiary w najwyższą harmonię
składam słowa mozolnie w białe skrzydła kartek
i serca sygnaturką głośno w wierszach dzwonię

myśli jak ćmy natrętne wokół świecy serca
zataczają świetliste pętle przeznaczenia
wiem że od was odejdę i zostawię słowa
i między nimi wielkie przestrzenie milczenia

przemina wszystkie lata jak chore jesienie
poganiom wciąż tęsknotą okręty obłoków
co płyną od Słowacji poprzez zęby grzbietów
i wsiakają w wilgotną pelerynę mroku

umarli płaczą cicho w roztrzęsionych brzożach
i wiotkie wyciągają na wietrze ramiona
za nami długa droga ginie w niepamięci
gdy wiatr wieków z szelestem gubi ich imiona

płynie przeze mnie cicho ciemny mrok wieczoru
na krawędzi dwóch światów cienie w trwożnym stadzie
a do nóg mi się łąsi gęsta ciemność nocy
i długie cienie bólu na sercu mi kładzie

zgarbionym bukiem wrastam w strome zbocze trwogi
zegar przedzie cierpliwie postrzępioną ciszę
rozsiadają się zjawy od dawna znajome
gdy w ramionach gałęzi ich cienie kołyszę

bladość czoła śmiertelnie wokół pnia opięta
tyłu już pożegnałem w nieba jasnych progach
zaufałem bez granic harmonii stworzenia
co każdego z nas wiedzie do jednego Boga

z tej miłości do lasu i kojącej ciszy
samotności i wiary w najwyższą harmonię
składałem słowa mozolnie w białe skrzydła kartek
i serca sygnaturką głośno w wierszach dzwonię

Besкиды gdzie korzenie wierszy poskręcane
trzymają pień wysmukły mojego marzenia
gdzie w ciszy lepiej słyszeć ciężki oddech życia
i gdzie kamień porasta gęstym mchem milczenia

a Słowo bywa wolnym obłokiem i ptakiem
co bez lęku przysiada w wyciągniętych rękach
i przestrzeń wolności rozpiętą szeroko
co faluje na wietrze naszych marzeń miękko

stałem nocami oglądałem niewygasłe łuny
tę chorągiew czerwoną – grzebień wojny strojny
tutaj echo przynosi krzyki z Srebrenicy
dzieci pokaleczonych ciężką ręką wojny

tutaj zimnem przenika zimny wiatr ze wschodu
gdy na świerkach zostawia wielkie strzępy mroku
i pamięć co układa wielkie krzyże żalu
gdy pędzi ponad głową kibitki obłoków

przecież widzimy wszyscy jak oni tam giną
lecz serca mamy zimne jak szklane ekrany
a oni tam od głodu jak jesienne drzewa
szczerniały i bez liści w płaczu rozebrane

jestem z wami lecz jakże gorzkie to stwierdzenie
kiedy myśl nic nie znaczy w spotkaniu z żelazem
gdy biegamy za swymi drobnymi sprawami
bo miłość i nienawiść trudno złączyć razem

pióro trzymam jak płomień szarpany na wietrze
którym radość i smutki pośród życia chwieją
osłaniam je więc ufnie modlitwą i wiarą
wiersz od wiersza zapalam wciąż nową nadzieją

z tej miłości do lasu i kojącej ciszy
samotności i wiary w najwyższą harmonię
składam słowa mozolnie w białe skrzydła katek
i serca sygnaturką głośno w wierszach dzwonię

a czas uczy pokory – tępi ostrza buntu
i cierpliwie przez lata pozory rozwiewa
bywa że nam zostanie tylko drobne ziarno
niezwykła tajemnica ogromnego drzewa

które naszego trwania i losu człowieka
ogromną i rozrosłą wielką metaforą
ono rośnie ku niebu w mozole i trudzie
na przekór przeciwnościom burzom i pozorom

tu kamień jest milczeniem: woda – płaczem chmury
ptak – kluczem co otwiera wielką przestrzeń losu
zieleni – upartą wiarą co zrasta się z ziemią
harmonią – która spada w srebrnych łzach kosmosu

człowiek z ciężką tablicą Dziesięciu Przykazań
mozolnie dźwiga dotąd tajemnicę wiary
poprzez czas darowany w czterech porach roku
gdy Bóg co dzień nakręca słoneczne zegary

wybacz mi Panie! jeszcze tę ciekawość świata
tę łękliwą nadzieję w chwilach ciężkich godzin
tę nieufność do ludzi co mnie okłamali
kiedy serce nieufnie jak zwierzę podchodzi

i owija się lasu świerkowym bandażem
i okrywa się nieba chmur wełnianych pledem
i obmywa się wodą z wiślanego źródła
i przelicza modlitwy dni kolejnych siedem

i umieram ze świerkiem na słonecznym zboczu
i odchodzę w milczeniu w wyschniętym potoku
gdy drętwią ramiona brązowe i rdzawe
przyrody krzyżowanej na beskidzkim stoku

jeszcze kos czarny ornat zakłada do śpiewu
i rzeźbi srebrnym fletem smukły dom harmonii
gdy wśród groni rozbrzmiewa żałobne Requiem
i na trwogę w dolinach wielkim echem dzwoni

z tej miłości do lasu i kojącej ciszy
samotności i wiary w najwyższą harmonię
składam słowa mozolnie w białe skrzydła kartek
i serca sygnaturką głośno w wierszach dzwonię...

Zielona parafia, 1994

święć się imię Twoje...

różowo dzisiaj świecą nad górami chmury
pewnie jutro się zbudzi znowu wielki wiatr
powietrze przezroczyste niczym górski kryształ
przez które widać sine ostre zęby Tatr...

stoję na Ochodzitej po kolana w ciszy
czuję się zespolony z tą niezwykłą ziemią
serce znowu powtarza wielki akt zachwytu
obracam widnokretem jak magiczną sceną

od podnóża już cienie pełzną w moją stronę
las ciemnieje w dolinie... w górze srebro dzwoni...
Ojcze nasz Który jesteś wygwieżdżony w niebie
święć się imię Twoje wśród beskidzkich groni...

Żelona parafia, 1994



wołanie...

Boże Wielki! w monstrancji słońca
Boże Wielki! w hostii księżyca
oto staję przed Tobą prochem
co się mocą Twoją zachwyca

Boże Wielki! w zielonym ornacie
Boże Wielki! ze łąką strumienia
wywyższony ponad gwiazdami
niezglębionym niebem milczenia

Boże Wielki! w błękitnej koszuli
Boże Wielki! z chorągwią chmury
co przechodzisz porami roku
poprzez ziemię i nasze góry

Boże Wielki! w owocach i ziołach
Boże Wielki! we wszystkim dookoła
wiem... że nawet zapachem ziemi
mnie do siebie na wieczność wołasz...

Zielona parafia, 1994

Złoty Groń

na Złotym Groniu
złote pola
kwiaty ze złota
czas ubiera
na kielich złoty
pszczoła złota
siada i złotą
kroplę zbiera
i kłosa złote
dłonią gładzi
łany troskliwie
rosi potem
patrzy z uwagą
w żarna dłoni
czy się wysypie
ziarno złote
monstrancję złotą
ponad chmurą
aniół w zapale
wielkim kuje
bo Bóg założył
ornat złoty
i...
dzisiaj po groniach
spaceruje...

Zielona parafia, 1994

na Złotym Groniu
złote pola

i kłosa

Olza

ta ziemia ciągle nas boli
uwiera ciężarem bagażu
dlatego śpiew mój pochmurny
w brudnym wiersza bandażu

pytam się dzisiaj drzewa
pytam się dzisiaj kamienia
pytam się dokąd płyniesz...?
Olzo! naszego sumienia!

kiedy pozszywasz rany
nicją codziennej drogi
gdy brzegi ciągle daleko
od mostów naszej trwogi

patrzę na ptaka w locie
symbol naszego oparcia
niebo rozbitym lustrem
w Olzie naszego rozdarcia

więc kto powiedział kłamliwie?
że Ty! rozdzielasz nas rzeko!
Dolino Naszego Serca
pod zapuchniętą powieką

gdzie wież kościoły z wyrzutem
dzwonią u brzegów mowy
bo Bóg się Zaolzia nie wyparł
i ciągle czeka gotowy

w konfesjonale Beskidów
cierpliwy jak pory roku
przesuwa różaniec dziejów
z chmurnym czołem obłoków

Jemu przystoi czerwień
w płonących bukach... kalinach...
Jemu biel z tą czerwienią
w polskich pamiętnych zimach

gdzie modli się każdy kamień
gdzie niepokorna cisza
stoi dotąd na grobach
Przeczka... Jasiczka... Kubisza...!

więc ja dziś Twój ból rozumiem
Rzeko naszego sumienia
gdy toczysz przez nasze serca
niekształtne słowo z kamienia

kiedy się po raz ostatni
szmerliwą mową pokłonię
wy mi umoczcicie w tej rzece
skrwawione pióro i dłonie

niech mi powiedzą drzewa...
niech mi powiedzą kamienie...
dokąd Ty! rzeko płyniesz?
przez nasze polskie sumienie!

Żelona parafia, 1994

A vertical staff of handwritten musical notation in blue ink, running down the left side of the page. It consists of several staves with notes, stems, and clefs, though the specific notes are difficult to discern due to the vertical orientation and handwriting. The notation appears to be a vocal line for a prayer.

modlitwa milczenia

gdy anioł w sufit nieba wbija srebrne gwoździe
i noc przysiadła cicho w lasu ciemnych trwogach
gdy granaty czernieją głęboko w dolinach
wychodzę mówić pacierz przed obliczem Boga

świerki w ciemnych kapturach otulone w ciszę
klęczą wokół na zboczach w cierpliwej pokorze
znad Baraniej wypływa latarnia księżycy
i budzi długie cienie w zmęczonym wieczorze

anioł szeleści skrzydłem o gonty kościoła
krzyż pisze długim palcem pośród gwiazd na niebie
nie muszę wygrzebywać z pamięci modlitwy
bo wiem – że tym milczeniem – modlę się do Ciebie!

za zboczem Kubalonki wisi gwiazda Polski
wiem – że Bóg ją prowadzi – i swą dłonią wspiera
i chociaż ta modlitwa moja taka cicha...
to wierzę – że i ona do Niego dociera...

Dom na przełęczy

modlitwa o równowagę

w świerkach czernieje wczesny wieczór
wiatr szarpie chmury w szybkim locie
drewnieje we mnie z bólu serce
co będzie jutro...? chciałbym dociec...

bo gdy mnie zbiją znowu tak jak psa
i gdy mnie skopią kłamstwem oraz słowem
to Panie Boże! chciałbym choć na chwilę
na Twych kolanach złożyć ciężką głowę

i chciałbym zrzucić choć na chwilę lęk
zostawić bólu łzy pieczęcie sine
i abyś Panie! swym gołęmbim sercem
rozstrzygnął moją i mych wrogów winę

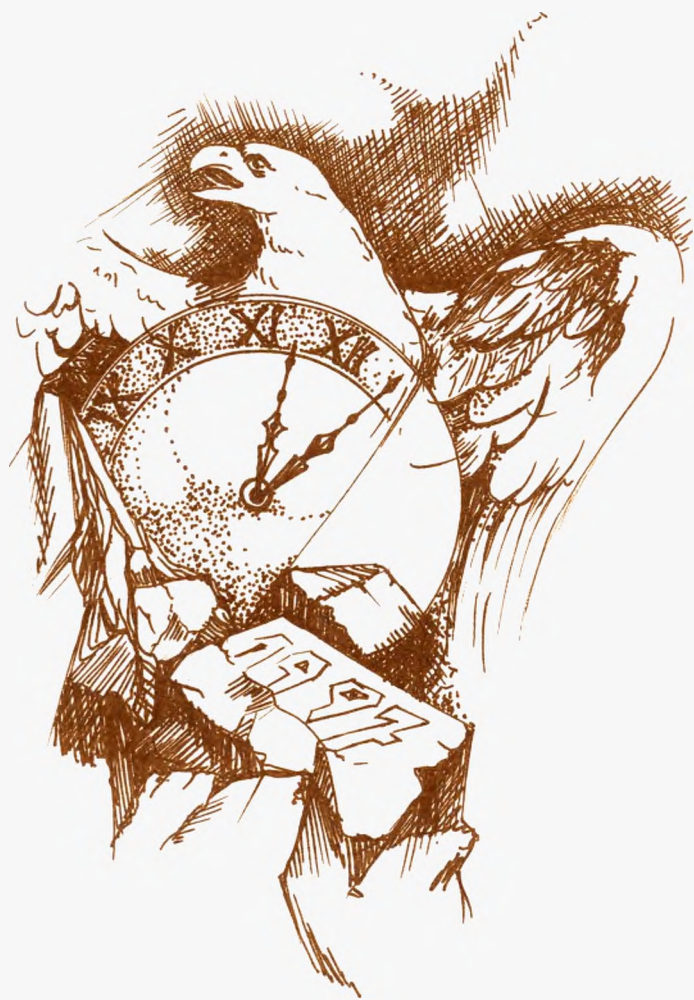
bo się szarpiemy – kaci i ofiary
w szarej klepsydrze odmierzonych dni
kamień o kamień – twardym razem
i wciąż za nami smród i zapach krwi

a ja widziałem dzisiaj w górach wiatr
i oczy Twoje niebieskie nad nami
gdy anioł groniem szybko szedł
i gdy poruszał wielkimi skrzydłami

i las gdy klęczał nisko koronami
na zboczu góry w granatowym mroku
a Tyś przesiewał srebrne plewy gwiazd
i ziarna zrzucał z szumem do potoków

więc pójdę płakać dzisiaj chyba w las
Ty mnie tam utul snem i szumem
bym mógł odnaleźć w sobie równowagę
pomiędzy sercem – a – rozumem!

Polskie sumienie



przy matce

requiem beskidzkie

I

drewnieją nam ramiona – kiedyś takie czułe
jak las dziś umieramy – cicho i powoli...
w głuchym odgłosie wewnątrz zsypuje się próchno
niewiele już nas teraz obchodzi i boli...

cicho... bo już się ptaki wyniosły za rzekę
w lesie nie ma radości – kornik gryzie ciszę
słuch wytężam – wysoko anioły obłoków
przelatują... lecz wiatru muzyki nie słyszę...

grzebię w popiele lasu – suchy trzask korzeni
rdza zsypuje się w ziemię krwawą ciemną plamą
pod kamieniem już nie ma kropelki wilgoci
pod kolejnym to samo... to samo... to samo...

runie co chwilę martwe pokonane drzewo
umieramy powoli w kalekich kikutach
padamy coraz częściej odarci z nadziei
w wypalonych stuleciach... godzinach... minutach...

ptaki które spadają nie mają już skrzydeł
gdzie jest źródło co życie z pożaru ocali?
w którą stronę obrócić zatrwożone oczy
tam luna ciągle nowa za nami się pali...

II

anioł śmierci nad groniami przelatuje chmurą
w pelerynie luno – na skrzydłach halnego
lasu białe kości bieleją na zboczach
w imię Ojca... i Syna... i Ducha... obcego...

Olza cieknie jak z rany czarna brudna krew
z krajobrazu co opuchł w miejscu zakażenia
na brudnym prześcieradle potarganej mgły
dolina cicho kona w bandażach milczenia

sarna co oszalała jak pies za mną idzie
i liże mnie po rękach pokrwawionym pyskiem
przyklękamy wśród lasu z zaciśniętym gardłem
człowiek i zwierzę odtąd nagle sobie bliskie

lufy kominów mściwie wymierzone w niebo
salwa za salwą głucho w szklany klosz błękitu
sypie się gorzko popiół spalonego nieba
od czarnego zachodu – do czarnego świtu...

ludzie biją w milczeniu rękami o przestrzeń
jakich skrzydeł nam trzeba by unieść do góry
próbujemy wciąż wzlecieć ponad naszą słabość
nad marzenia i losy – Żwirki i Wigury...

niepokój się wypiętrza jak Cierlicka Góra
gdy świerki rozczesują chmur ciężkie warkocze
rozrzucone wokół Ikarowe skrzydła...
tu... gdzie los nami rzuca... o beskidzkie zbocze...!

III

wiem... że już się w fiolety stroją ze mną drzewa
i zachód już zapala ostatnie latarnie
światło leje się w ciemność ostatnim wyzwaniem
zanim mrok je na wieczność w bemolach ogarnie

nad górami ostatnie złocą się obłoki
w dolinie długie cienie ruszają pochodem
zarzuć mi na ramiona długi płaszcz ufności
zanim powieje z dolin przejmującym chłodem

stoję nakryty niebem w samym środku ziemi
srebrnym batem meteor przecina firmament
trwam wpisany w Beskidy wiarą i modlitwą
nim obrócę ostatnią kartkę w wieczne AMEN...

widzę Cię jak przyklękasz z bladą cichą twarzą
jak przebiśnieg niewinna – z pochyloną głową
dzwon uderza z arytmia nim się rozkołysze
wielkim krokiem co idzie – śpiewnie i miarowo

zostań... bo ja tym mostem muszę przejść samotnie
będę czekał na ciebie już po drugiej stronie
gdzie dzwonów już nie słyhać a na progu nieba
Bóg wyciąga troskliwie swoje dobre dłonie...

Polskie sumienie

rondo beskidzkie

leżę krzyżem na moich Beskidach
czas się toczy bolesnym kołem
wołam ptaka by przy mnie został
gdy uderzę o ziemię czołem

liżę rany jak chore zwierzę
zagonione za siódmą rzekę
Panie Boże! co za tą dałą?
co zamyka się za człowiekiem...

przesypuje się popiół nieba
leży prochem na naszych głowach
teraz widzę próchno co świeci
czasem tylko na naszych słowach

gorzki zapach ma moja ziemia
jesteś czuję nie w żadnych zwidach
znów złapałem się z życiem za bary
leżę krzyżem na moich Beskidach

jutro znów mnie podniesiesz z kolan
chłodnym dreszczem i krzykiem drzewa
znów mi serce będzie kołysać
śpiewająca w liściach ulewa

cicho płacze jesień w Beskidach
i nie widać jak wczoraj gór
wiatr bemole rozwiesza w drzewach
zamazany widnokrąg chmur

znowu staję naprzeciw kłamstwa
wciąż mnie straszą przekleństwem i karą
słucham serca czy to wytrzyma
wsparte tylko nadzieją i wiarą

tępy ból czas rzeźbi ciało
wciąż się w krzyże plątają drogi
jeszcze wyrwać przybite do ziemi
skrzydłem serca skrwawione nogi

Chrystus płacze w przydrożnej kapliczce
w pyłe wspomnień przeszłego lata
krople krwi wciąż spod cierni płyną
choć mu pajak bandaż zaplata

wszyscy odejdą... sam zostaniesz
ziemia jedynie będzie czekać
aż się ułożysz w niej uległe
tym co zostało ci z człowieka

ona obejmie cię ramieniem
w proch się rozsypie chłodne ciało
będziesz jej garścią jedną z wielu
nad którą serce będzie łkało

czas się toczy bolesnym kołem
oszałałem już w mojej samotni
Panie Boże! tych ran co bolą
Ty! wez dłonią i sercem dotknij

bym mógł znowu przez bramę świtu
przejsć jak dotąd przełęczą rozpaczy
bym doliny i gronie nim padnę
jeszcze raz tak jak matkę zobaczył

bym mógł dotknąć jeszcze jej ciała
gdy się rosą rozsrebrza świtaniem
i gdy zszywa promieniem jak igłą
mgły w dolinach od wiatru stargane

leżę krzyżem na moich Beskidach
gdzie Ojczyzny serce zielone
i gdzie świerki zawsze wysmukłe
niosą dumnie wysoko koronę

stąd przez witraż Bożej harmonii
widzę życie splątane grzechem
tutaj krzyki trwogi i triumfu
czas odbija od gór głośnym echem

leżę krzyżem na moich Beskidach
czas się toczy bolesnym kołem
wołam ptaka by przy mnie został
gdy uderzę o ziemię czołem

tej samotności nigdy nie wypłaczę
dlatego nie myśl że na kogoś liczę
przykładam głowę uległe do ziemi
już widzę w dali jak się palą znicze

słyszę jak płaczą nisko wiolonczele
i jak w bemole czernie stroją smyki
wiatr chłodny dreszczem przebiega po ciele
metafizycznej tajemnej muzyki

kiedy otwieram wielką księgę dziejów
zdmuchuję pył z odległych wieków
to tajemnicą w nich największą
tyś jest najbliższy mi człowieku!

splątany pychą i pokorą...
wysoką wiarą i zwątpieniem
chłodny jak zwierzę w czasie skoku
i... ukarany swym sumieniem!

osaczony każdą godziną
przypisany ziemi i chmurom
serca krokiem odmierzam codziennie
to co ludziom... Bogu... i góróm...

halny złamał kolejne drzewo
już koroną nie będzie szumieć
wieje halny naszego czasu
i nam trzeba odejść stąd umieć

gdy dotkniemy koroną ziemi
przełamani śmiertelnym podmuchem
gdy rozłączy nas czas bezlitośnie
z korzeniami... ciałem... i duchem

koło czasu skrzypi nad nami
płoną świty i gasną zachody
koleiną srebrną nad groniem
Bóg strzepuje gwiazdy do wody

wiatr przegania chmury po niebie
jak okręty ku dziwnym lądom
i w organach lasu wygrywa
moje szumne Beskidzkie Rondo

1996

a we mnie coraz więcej kamienia i drzewa...

drzewa wrastają w niebo wilgotne i szare
widnokrąg zaciśnięty gęstym szalem mgły
i szlaki zaplątane w ostreżyny lęku
po liściach płyną drobne drżące srebrne lzy

od południa wiatr targa wilgotną zasłonę
przedziera się grzbiet góry z siną grzywą lasu
rozrasta się widnokrąg aż po Złoty Groń
dzwoni o kryształ nieba jasny zegar czasu

Beskidy wynurzają wielkie ciemne grzbiety
od Słowacji przez niebo lecą strzępy chmur
coraz więcej kolorów gdy się światło łamie
w kroplach... w chmurach... w gałęziach...
w cudowności gór...

czas staje ciężką stopą za słonecznym splotem
życie nasze jak obłok... dmuchawiec... jak pył...
serce tłucze do bólu jak spłoszone zwierzę
które pędzi na oślep korytarzem żył...

odwracam szorstką korę swojego cierpienia
jak drzewo od północy obrośnięte mchem
rozdzwiam się ku słońcu w południowe zbocze
by cieszyć się kolejnym darowanym dniem

bo we mnie coraz więcej kamienia i drzewa...
złotych liści... szelestu... jesieni i chłodu...
wiatru – co przelatuje nad przełęczą serca
nim zagasi ostatnie latarnie zachodu...

1996

z ciszy

pragnąłem zawsze służyć cicho i pokornie
z dala od zakłamania wrzasku i pozorów
wołam do Ciebie z ciszy mojego milczenia
Matko polskiego losu – Krwawa Łzo Nieszporów!

które odprawiam tutaj codziennie od zmroku
by uciec od rozpaczyny zwątpienia i zwirow
a Ty! przychodzisz wtedy i rozpalasz gwiazdę
w lesie mojego życia na niebie Beskidów!

gdzie wielki hałas świata nie dziurawi ciszy
a on nie staje w progach – groźny i złowrogi
las wieczorem się modli wiatrem i strumieniem
choć bywa w oczach sarny widzę cienie trwogi

choć bywa że i tutaj gdy wracam ze świata
wloką się za mną dziwne jakieś blade twarze
a lasem długo błędzą pogarbione cienie
i noszą połamane krzyże naszych marzeń

i wtedy ich spotykam w łachmanach i biedzie
w bandażach pozlepianych siadają za stołem
długo patrzą mi w oczy tym strasznym milczeniem
od którego mi włosy siwieją nad czołem

od którego nie mogę uwolnić swej duszy
i uciekam od świata wrzasku i pozorów
wołam do Ciebie z kąta mojego milczenia
Matko polskiego losu – Krwawa Łzo Nieszporów!

bo tylko słów muzyką potrafisz Ci służyć, 1991

reduta

Matko! to przecież tutaj kiedyś w Ostrej Bramie
małego Adama wzięłaś pod swoją obronę
by niósł wolności polskiej drogami pielgrzymstwa
bolesną... bo cierniową... i ciężką koronę

dlatego wierzę że dzisiaj niemowlę wolności
wyrzucone na śmietnik moskiewskim rozkazem
nie zginie! choć je depczą gąsienicą czołgów
bo patrz! jak płaczą z wiarą przed Twoim obrazem

i wierzą że gdy staniesz w Reducie Wolności
to żadna lawa błota prawdy nie zaleje
bo Ty! będziesz na szanćch niewzruszona stała
i rzucała tym co giną ostatnią nadzieję...!

bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

Brzozowa Madonna

brzóz białe anioły rozświetlają las
takie anioły świecą w każdym polskim lesie
one wyrastają z tamtych zbrodni płaczem
co poprzez pustkę wołaniem żałobnym się niesie

przywaleni historią i milczeniem kłamców
z rękami związanymi powrozem lub drutem
idą ciężko przez pamięć z przestrzeloną wiarą
skopani w dół pogardy zdrady ciężkim butem

brzóz białe anioły rozświetlają mrok
przesuwają różaniec zardzewiałych kul
anioły polskie pełne zdławionego płaczu
one niosą w koronach nieśmiertelny ból

ten las się modli czujnie i w milczeniu
i tylko polskie serce w tej ciszy zaśpiewa
Requiem Poloniae zdradzonego narodu
co wyrasta lasem krzyży w rozplakanych drzewach

i czesze brzóz warkocze drżącymi rękami
i przechodzi strasznym lasem... i twarz w dłoniach chowa...
i płacze kiedy widzi przestrzelone drzewa...
Matka Boska Katyńska... Madonna Brzozowa...!

Requiem Poloniae

modlitwa do Matki Boskiej Ostrobramskiej

sprzedaliśmy swą dumę... za gesty i słowa...
spieramy się o ochłap rzucony przez wroga
więc Matko Ostrobramska! natchnij nas odwagą
gdy będziesz w imię tchórzy prosiła u Boga!

Ty! której nie możemy popatrzeć dziś w oczy
bo mieszkasz na rubieży od swoich daleko
Matko Repatriantów! Arko Zagubionych!
Gwiazdo bólu pod ciężką splekaną powieką

wstęgą Wilii i Niemna wokół opasana
Ty! co świecisz daleko na wschód w Ostrej Bramie
gdy będziesz w imię nasze prosiła o łaskę
wypal na naszych czołach krwawe polskie znamię...

bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991



modlitwa do Matki

Tobie przynoszę Matko! moje szare dni
i grozną ciemność co mi płacze nogi
pozwól mi złożyć pełen plecak win
zanim rozplączę wszystkie ziemskie drogi

pomóż mi zebrać jeszcze tyle sił
gdy mnie osaczą szyderstwa i drwiny
abym zrozumiał każdy ludzki czyn
i sam wybaczył bliźnim wszystkie winy

bo gdy nienawiść rośnie grozną łuną
i kiedy szatan Dekalogiem chwije
do Ciebie Matko! przychodzę po pomoc
gdy rozstrzelano dla wielu nadzieję

gdy świat się toczy jak płonący granat
u Twoich kolan pod Medzugorje
Ty! jedna możesz sprawić swoim sercem
by świat miłością pisał znów historię

Ty! jedna możesz jeszcze wyrwać lont
zanim staniemy w ciepłej rzece krwi
nim zatrzaśniemy czarnym skrzydłem śmierci
u progu nieba ciężkie losu drzwi

Tobie przynoszę Matko! moje szare dni
i ptaka lęku co przestrzeń kaleczy
bo gdy zabrniemy kiedyś aż po śmierć
jedynie Twoja miłość może nas uleczyć...

Zielona parafia, 1994

Królowa Polski

w odświętnych ubrankach
zapięci pod szyję
idziemy niby kochać
wzywając Maryję

od wieków nauczeni
tylko o coś prosić
nie umiemy na swoim
grzbiecie krzyża nosić

a Ona widząc nasze
obludne dreptanie
coraz smutniej spogląda
na swe królowanie

i nocą spod korony
co ją tak uwiera
dłonią drżącą od bólu
krwawy pot ociera...

bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, 1991

Królowa Polski

powracamy do Ciebie
po ducha odnowy
Panno Święta!
co Jasnej bronisz Częstochowy
nierzadko sama...
choć się często tłumy
u Twych kolan kłębią
jak fale niespokojne
nad nieznaną głębią...

i

w Ostrej świecisz Bramie
zapalką nadziei
w roztrzęsionej dłoni

i

w tylu innych miejscach
gdzie nas rozpacz goni
ponad granicami
głupoty i zdrady
gdy stoi między nami
strach śmiertelnie blady...
połóż swoje ręce
jak czule okłady
na naszych serc kamieniu
węzowisku myśli
abyśmy znowu do Ciebie
tak jak dzieci przyszli...
i jak w ciężkiej chorobie
zaufali Tobie...

a Ty!

położysz wtedy dłonie
wyciągnięte obie
ku naszej bezradności
Matko! straconej wiary
daj nam wreszcie zrozumieć

nasze polskie sprawy
uzdrów dotkniętych ciężką
chorobą niemocy
byśmy znów mogli podnieść
zawstydzone oczy
i mogli tu powracać
we dnie oraz w nocy
nie tylko by Cię błagać
o wielkość pomocy
ale byśmy nabrali
w naszych sercach mocy
gdy tylko zabłądzimy
w naszych polskich sprawach
gdy nas gorączka zacznie
o zwidy przyprawiać...
Ty!
pośród nas jak matka
z ufny m zatroskaniem
co u wezłowia cicho
z czułością przystanie
będziesz dźwigać cierpliwie
serca ciężki kamień
aż odetchniemy z ulgą...
Ty!
zaś drżące dłonie
gdy znów zostaniesz sama
jak w kaplicy płomień
podniesiesz by położyć
na polskiej koronie
którą niesiesz przez lata
cierpliwie i wiernie
w której zamiast rubinów...
świecą... ostre... ciernie...!
Panno Święta!
co Jasnej bronisz Częstochowy!
powracamy do Ciebie
po ducha odnowy
ufni że tylko matka

nie pyta o winy
i czuwa swą miłością
u każdej godziny
która będzie na zawsze
Godziną Strzeżoną
pod berłem Twego serca...
pod polską koroną...!

Matka Boska Gromniczna

gdy codzienność zaciska coraz ciasniej okrąg
jak wilk co wyczekuje końca swej ofiary
Ona idzie ze światłem płonącej gromnicy
przez ciemność naszych zwątpień z ciepłem ufnej wiary

przez śniegi naszych milczeń – przez zasy nieemoc
przez ścieżki zasypane zadymką wichury
Ona idzie jak światło – niczym świt po nocy
przez bezdroża – doliny – i przez nasze góry...

Matka Boska Gromniczna! ze światłem miłości
przecina groźną ciemność – płoszy wilka strachu
a kiedy musi odejść za granicę nieba
to nadziei światło wiesza na niebieskim dachu

a gdy mnie groźna ciemność otoczy dokoła
i drogi nie potrafię odnaleźć przed siebie
podnoszę wtedy głowę – by odczytać znaki
które Ona zostawiła świetliste na niebie...



ilu jeszcze pilotów

I

ilu piątów miniemy po drodze...
przez tłum zelżeni wśród życia udręki
gdy sprawiedliwość jest po stronie pięści
po stronie misy i... umytej ręki...

ile nam biczu mierzą sprawiedliwie
aby strach zabić co w piersiach się czai
ileż to razy będą z nagła ranić
by się przekonać że jesteśmy sami

sądzić nas przyjdą bezbronych i słabych
pod kratą krzyża... pod sępami słowa
my im musimy dać świadectwo Prawdzie
którego ceną będzie nasza głowa...

II

wytrwale trzeba krzyże życia dźwigać
to nic że drwiną wykładają drogę
że ci na usta nakładają knebel
że nam podstępnie podstawiają nogę

musisz cierpliwie przemierzyć noc bólu
aby zobaczyć jutrzejsze świtanie
by się przekonać oczami swych dzieci
że nie na próżno nasze krzyżowanie

z ufnością trzeba krzyże losu włączyć
iść krok za krokiem na Górę Ofiary
do końca spełnić wyrok Namiestnika
potwierdzić dekret bezgranicznej wiary

III

kiedy upadniesz pierwszy raz od bólu
przyjdą cię leczyć ran rozdrapywaniem

z zapalem mówić – fałszywie współczując
pójdziemy z tobą – podaj tylko ramię

i kiedy runiesz nieprzytomny w pyle
leżąc na drodze w poprzek ich tyranii
w imię porządku skopią cię nogami
ślepi od gniewu i nieprzejednani

a potem cię powiodą drogą swego prawa
drogowskazem wzniesionym z miecza i popiołu
aby się wypełniła Jego przepowiednia
wolność kiedyś powstanie z cmentarnego dołu!

IV

i kiedy już zabraknie na twym ciele miejsca
aby mogli cię zranić boleśniej niż sługi
poszukają cierpliwie takiego sposobu
by mogli znów uderzyć dotkliwiej raz drugi

oderwą cię od matki – zrąbią węgły domu
gorycz kłeski poniesiesz na spragnionych ustach
dopóki nie doczekasz serdecznego gestu
i twarzy nie położysz na pobladłych chustach

obraz matki zbolącej zrani ci źrenice
i przygniecie cię ciężko ten widok do ziemi
Ona będzie złamana wśród tłumy szlochąca
rubiny łez zbierając rękami drżącymi

V

niejeden Szymon zyski będzie liczył
nim krzyż na swoje położy ramiona
nim się przekona że warto ci pomóc
nim go nadzieja korzyści przekona

nieufnie stanie potem obok ciebie
pełen niewiary w słuszność twojej sprawy
nim się upewni że już jest bezpieczny
nim go przekona płynący pot krwawy

lecz go wstrzymają drwiny dookoła
lęk aby dłoni od krzyża nie zbrudzić
gdy nie potrafi w sumieniu rozstrzygnąć
czy warto jeszcze dla ciebie się trudzić

VI

i większą będzie dla ciebie pomocą
gdy twarz zranioną troską i cierpieniem
serdeczność chustą ci obetrze mięką
czułym jak skrzydło anioła ramieniem

a potem oszpecony przez chłodnych oprawców
wstaniesz znowu by drogę przemierzyć od nowa
pójdiesz cichy samotny na swoją Kalwarię
nie skarżąc się nikomu i nie mówiąc słowa

a kiedy góry z cierpienia powstaną
gdy odejdziemy – gdy zburzą pomniki
Ty! – który wszystko możesz – zrób to dla nich
zamień tę kartę w chustę Weroniki!

VII

niejeden raz upadniesz zanim ich przekonasz
że mogą Cię zostawić bo już nie masz siły
że mogą spać spokojnie w wielkim cieniu krzyża
że wolności cię kraty dawno pozbawiły...

i z łotrami cię w jednej celi zatrzymają
by zarazić lot myśli wirusem zwątpienia
by Twe imię umarło razem z kruchym ciałem
kiedy bliźnim nałożą kaganiec milczenia

lecz nie będzie to próba ostatnia dla ciebie
jeszcze nieraz wśród nocy zrozpaczony jękiesz
kamień jeszcze zbyt twardy i długo poczekaś
nim od krwi i łez twoich pod stopami zmięknie

VIII

obcy przyjdą ci współczuć gdy zapomną swoi
zaprowadzą do domu z dala od ojczyzny
i ran będą dotykać aby się przekonać
jak głębokie ukłucia i szerokie blizny

lecz dla ciebie nie będzie to żadną pociechą
żadne drzewo nie wzrośnie cieniem twej ojczyzny
żadna trawa ni kamień nie będzie znajomy
żaden zagon twym słowom nie stanie się żyzny

i zostaniesz jak wierzba płacząca na brzegu
pochylony nad życia spełnionym strumieniem
tam matek rozplakanych szloch kiedyś wygaśnie
jak piersi wysuszone ostatnim westchnieniem

IX

jak wiele bólu jeszcze serce twe wytrzyma
ile w sobie pomieści nadziei i trwogi
jak często jeszcze trzeba ci upadać
zanim dojdiesz do kresu katorżniczej drogi

jak długo jeszcze będziesz pod drzwiami kołatał
zawiedziony bo głuchym odpowiedzą echem
i patrząc przez judasza będą tylko czekać
abyś ich już pożegnał ostatnim oddechem

jak długo jeszcze serce twe wytrzyma
gdy ci nikt nie pomoże wyciągniętą ręką
kiedy przyjdzie ta chwila nagłego zdziwienia
że na nich już nie liczysz – bo ci serce pękło!

X

nadejdzie wreszcie chwila – staniesz na Kalwarii
westchniesz z bólem – to koniec dokonanej drogi
niewiele już zostanie co mógłbyś utracić
przymierzając do krzyża... i ręce... i nogi...

lecz zanim cię podniosą ostatni raz w górę
szydząc głośno jak bardzo jesteś wywyższony
przygotują ci napój z żółci oraz octu
mówiąc pij – ze współczuciem –
kiedyś jest spragniony...

zagrają potem w kości o to co zostawisz
aby zabrać twe rzeczy wśród złego milczenia
aby sprzedać najdrożej nieśmiertelne rany
i korzystnie wymienić na ludzkie złudzenia...

XI

Boże jeśli nie byłem Tobie nazbyt wierny
jeśli szatan zbyt często kusił mnie do zmywy
to przecież wierzę że mnie nie zostawisz
jak łotra co się zbawił odwróceniem głowy

jeśli byłem narzędziem zimnym i nieczułym
to nie sądz teraz klingi że w boju warczała
lecz czyniąc sprawiedliwość tę odetnij rękę
która ostrzem świadomie w walce kierowała

a jeśli nazbyt ufny – prosił niepokornie
niech w pamięci zostaną tych co wspomną z nagłą
miejszem które zostało Tomaszowym śladem
jak blizna bólem lśniąca – pamięcią pobladała...

XII

pod warstwą błota którym nas pokryją
w tułaczym losie ciągle szczutych zbiegów
sami poniesiemy czerwień pierwszej kropli
nieskazitelną jasność górskich śniegów

szmer miękki modlitw jak w majowe noce
kropel rozmowy w bzu nabrzmiałych kiściach
nadzieję jasną jak zdziwione życiem
zielone serce w rozwiniętych liściach

sens znajdziesz później przy końcu alei
palcem czytając na kamiennej płycie

pod płaszczem kurzu... który nam zarzuci
znużonym drogą... dokonane życie...

XIII

dokładnie wbiją gwoździe by złączyć ramiona
abyś rąk nie podnosił – więcej dróg nie mierzył
by mogli pokazywać jak jesteś bezsilny
aby nikt w twe zwycięstwo w przyszłości nie wierzył

jedynie matka ufnie przyjmie cię w ramiona
ona będzie jedyna płakać twym imieniem
ona czule okryje ukwieconym płaszczem
i będzie osikowym pamiętała drzeniem

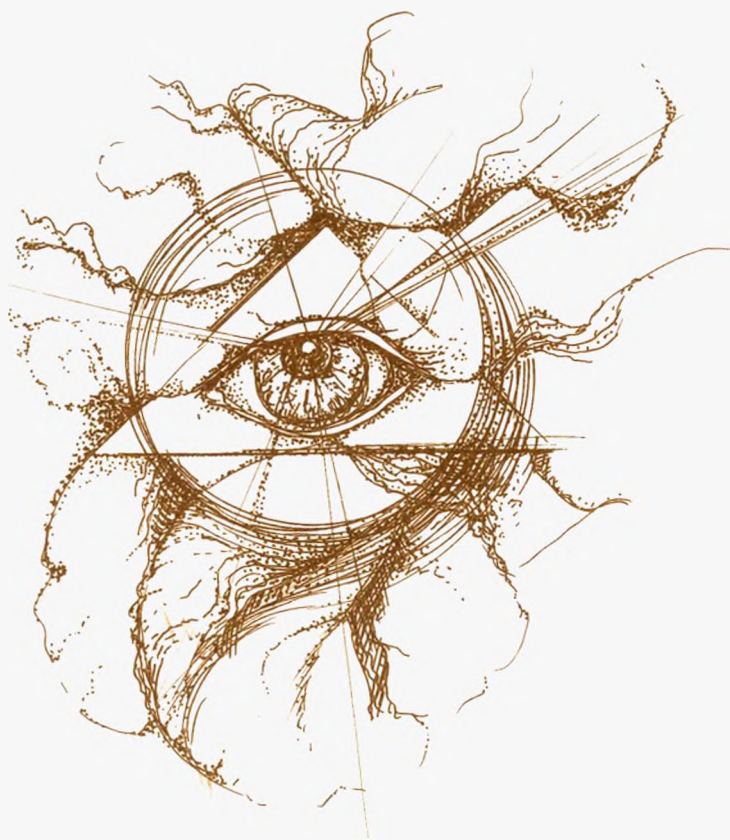
ona będzie się w drzewach zamieniała w krzyże
stała chusty pamięci i deszczem płakała
do niej nieraz powrócisz jeszcze po ratunek
ona będzie niezmiennie w progu serca stała

XIV

„ziarno musi obumrzeć – aby wydać owoc”
jeśli byłeś tym ziarnem – Alleluja tobie!
jeśli jednak nie niosłeś w sobie mocnej wiary
wszystko zgnije! i prochem zapadnie się w grobie

żadna siła nie dźwignie kamienia wolności
jeśli umrze idea którą w życiu wzniesli
nie szukajcie wśród śmierci tego co wciąż żyje
cośmy w sobie jak ziarno najcenniejsze nieśli

w śmierci jest więc nadzieja – wiara Wielkiej Nocy
że i dla nas nagrodą kiedyś zmartwychwstanie
że wzrośniemy tym ziarnem naszego narodu
która chlebem – za kamień rzucony – powstanie!



z nadzieją

wzór

Rec.

pójdiesz samotny – to twój los
wśród gwaru – wrzasku – i bełkotu
przez krzyże coraz nowych dni
– z chłodnym strumyczkiem potu

przez śmiech – i łzy – i zapomnienie
ten co się naigrawa
na grzbiet ci włoży ciężki garb
– z chorej litery prawa

i będziesz tylko Jego miał
ten wzór wpisany w krzyż
co ci pomoże z prochu drogi
– wciąż rosnać wzwyż...

Sen Hioba

nadzieja

śni mi się często dom daleki
okna porośłe dzikim winem
i widnokregu wielkie koło
wpisane w lasu smugi sine

i macierzanki dziwny zapach
w warkoczach miedz rosnący ziołem
duszne południa w cieniu sadu
rozcięte dzwonem na połowę

ścieżek splątanych wielki kokon
składany ufnie w matki dłonie
gdy mi pożarem niecierpliwym
płonęły gniewnie młode skronie

powroty ojca z mroków trudu
z gwiazdą nadziei w źrenic cieniu
i galopady na kolanach
z tarczą czułości na ramieniu

drogowskaz krzyża ponad głową
zawsze zwrócony w stronę nieba
i ta nadzieja nieśmiertelna
którą nosiłem w Hostii chleba

śni mi się często dom daleki
z chorągwią dymu nad kominem
wielka tęsknota co mi grzała
od chłodu świata serce sine

i tamta wiara ocalona
co mnie codziennie bardziej zbliża
do chwili kiedy padnę Panie!
ufnie w ramiona Twego krzyża

Dom na przelęczu

Chrystus ciągle umiera...

Chrystus ciągle umiera w różnych kątach świata
z głodu – rozstrzeliwany – w podstępnych zamachach
pada po raz kolejny przywalony krzyżem
gdy zło się ciągle lęgnie pod dachami świata

świat woli Barabasz! – rozumie Piłata...!
Judasz bywa patronem naszego sumienia
Chryste! jak lichy dzwonią nasze przyrzeczenia
gdy szarpiemy natrętnie płaszcz Twego imienia...

Chrystus ciągle się krwawi... bo woli ofiarę
choć cierni wciąż przybywa w koronie tortury
i chociaż przybijany wciąż do krzyża śmierci
to jednak całą ludzkość podnosi do góry...

i ciągle zmartwychwstaje w poranionym ciele
i przeczy tym co wierzą logice niewiary
Chryste! daj tym co cierpią niezachwianą ufność
ze wieczności nie mierzą już ziemskie zegary!

tędy szedł Chrystus...

tędy szedł Chrystus w wielkim płaszczu światła
jeszcze las klęczy pochylony tchnieniem
tędy przechodził poprzez nasze życie
by w nas obudzić uspięne sumienie

tędy szedł Chrystus pochylony nisko
nad każdym drzewem nad XX wiekiem
w ciemności świecił zapalką miłości
schylony czule nad każdym człowiekiem

tędy szedł Chrystus z kosturem pielgrzyma
rozmnażał Słowo jak rybę i chleb
przyłącz się do tych co Mu zawierzyli
i idą z Nim jak mistyczny śpiew

tędy szedł Chrystus wzdłuż wiślanych brzegów
świecił krzyżami wśród lasów i pól
tędy przechodził wśród powstań i wojen
by z nami nosić nieszczęścia i ból

tędy szedł Chrystus w blasku Dekalogu
nad każdą naszą pochylony łzą
to On troskliwie pomaga nam wznosić
naszej wolności z wiary mocny dom

tędy szedł Chrystus na nasze spotkanie
mówił zwyczajnie naszą polską mową
kiedy z pielgrzymką czekał na spotkanie
ze swoją Matką gdzieś pod Częstochową

tędy szedł Chrystus w koronie cierpienia
pod krzyżem grzechu samotny i chory
próżno Go szukasz w wystawowych oknach
w blasku mamideł gdy brak ci pokory

tędy szedł Chrystus poranioną stopą
jeszcze wciąż płoną świeże ślady krwi
tędy przechodził dźwigając historię
naszych szalonych niebezpiecznych dni

tędy szedł Chrystus w wielkim płaszczu światła
jeszcze las klęczy pochylony tchnieniem
tędy szedł z płaczem poprzez naszą ziemię
by w nas obudzić uspięte sumienie...

Tędy szedł Chrystus, 1992

modlitwa i sumienie

idziesz szerokim polem
niebem – krwawiącym obłokiem
słyszę jeszcze huk młota
ponad krzyżem wysokim

płyniesz niebem na przestrzał
zrywasz pieczęć milczenia
huczy las... dudni strumień...
dźwięki Twojego imienia

stoisz znów ponad światem
otwierasz szeroko ramiona
bolesną koroną krwawi
ziemia na Twoich skroniach

i tylko gałąź modlitwy
przebija mroki cierpienia
wkładam głęboko rękę
w otwartą ranę sumienia...

Sen Hioba

zmartwychwstanie

szedł Jezus przez Beskidy
w wiosenny poranek
choć nogi miał i ręce
krwawo rozorane

choć bok miał opuchnięty
i blady cierpieniem
choć trzy dni leżał ciężkim
przybity kamieniem

to w ręce niósł wysoko
chorągiew radości
by wszyscy zrozumieli
posłanie miłości

szedł Jezus przez Beskidy
a góry klękały
aby grzbiety pochylić
w imię Bożej chwały

a echo jak z trombity
wracało nad gronie
aby króla przywitać
w cierniowej koronie

i głośnie Alleluja!
górami się niosło
bo gdzie chwilę przystanął
budził życie wiosną

zaś gdy rany zablizniał
ludziom i przyrodzie
rzucił ziarno nadziei
aby rosło co dzień

i wierzbow rozczesywał
czupryny zielone
i budziła się wiara
w ojczystym zagonie

bo uczył nas znów życia
po latach niewoli
pokazywał nam wolność
która jeszcze boli

szedł Jezus przez Beskidy
i spoglądał z troską
bo tej wiosny zmartwychwstał
znowu z wolną Polską!

Dom na przełęczy

dźwignij nas

Panie! na tyłu wieżach smuklejący w krzyżach
nie ma zakątka ziemi bez Twych czułych ramion
i gdzie oczy obrócę w którąkolwiek stronę
tam widzę nieomylnie ślady Twoich znamion

bo nad Wisłą rośniemy nadal żywym murem
potomkowie przemienionych kiedyś kołodziejów
to ich losemznaczona cała polska ziemia
gdy trudem tysiącletnim dźwigamy ją z dziejów

Panie! na tyłu sercach jak warownych zamkach
sprawujący swą władzę – Wiarą i Nadzieją
dźwignij nas dziś rozkazem z bolesnej zadumy
gdy wrogowie jak trzcina naszym męstwem chwieją

poniosę

poniosę z bólem
jeszcze jeden krzyż
i chociaż z płaczem
to będę szedł wzwyż

poniosę z wiarą
cierniową koronę
pełen pokory
pójdę w Twoją stronę

poniosę ufnie
gwoździe i cierpienie
bym mógł rękami objąć
na krzyżu zbawienie...

nie bój się krzyża

mówisz że smutne moje wiersze
bo w każdym wierszu widzisz krzyże
ja wiem... że tylko dzięki temu
mogę wstępować coraz wyżej...

i kiedy ciągle idę dalej
kiedy do tyłu głowę zwracam
wiem że ten krzyż co stał w dzieciństwie
drogę nadziei mi wyznaczał

i każdy był mi drogowskazem
każdy mi świecił gwiazdą w mroku
każdy ocierał mi troskliwie
swoim ramieniem łzę na oku

nie bój się krzyża... gdy upadniesz...
i gdy cierpienie cię pokona
On będzie zawsze stał przy tobie
i mocno weźmie cię w ramiona!

aby zrozumieć

przecież i Ciebie kiedyś osaczyli
zdradą i znową... i podstępny słowem
cóż mogą zabrać gdy wszystko oddałem
jedynie życiem skołatana głowę

i za mną chodzi mroczny cień Judasza
przyjaciół koło cichą knuje znowę
z goryczą patrzę bo wszyscy odeszli
jedynie smutną łotr odwraca głowę

przecież i Ciebie kiedyś osaczyli
kiedy ubrałeś kruche ludzkie ciało
aby zrozumieć Judasza i łotra
gdy Cię podwójnie cierpienie bolało

niech odcisnę się śladem

krzyż rozpostarty szeroko nad moim dzieciństwem
ogarniał horyzonty troskliwym czuwaniem
gdym odchodził by zmierzyć nieznane gościńce
kiedym wracał... by wiarą zmóc rozczarowanie

i dziś wracam tułaczem znów w ramiona Twoje
chłodnym cieniem chcąc zetrzeć pył przebytej drogi
kornie kładąc u Twoich kolan swoją zbroję
byś mi wrócił mój Panie! tamten spokój błogi

niech zostanę kamieniem w progu Twego domu
a mą pychę podepcze wydzwigniętych chwała
i gdy stopę postawisz znacząc drogę komu
niech odcisnę się śladem Twojego sandała...

pozwól nam...

połóż nam na ramiona krzyża ciężkie ramię
pozwól nam iść do Ciebie z pieśnią i modlitwą
by inni zobaczyli twarz Polski jak dawniej
wywieszoną sztandarem na szczytach przed bitwą

zalewało nas morze pogan przed wiekami
nienawiść darła mapy jagiellońskich granic
próżno zwodzi cię teraz rozpalona gwiazda
która z rąk twoich zadrwi wyciągniętych na nic

pozwól nam iść do Ciebie przez życia jezioro
nie pozwól nam utonąć przy burcie Twojej łodzi
gdy strwożeni odległością niewidzialnych granic
będziemy pośród burzy przez życie przechodzić

gdy Ty...!

oderwij Jezu!
ręce od krzyża
już Ci nie będę
więcej ubliżał

pójdę Twym śladem
ścieżką cierpienia
lecz nóg nie kalecz
gwoździem sumienia

bo jak pójdziemy
świata bezdrożem...?
gdy Ty...! na krzyżu!
wiesz... mój Boże!

szedłem... niosłem...

na każdej drodze stałem z kubkiem wody
na każdym progu czekałem z radością
na każdy kamień nastawiałem ciało
by cię ochronić jak murem... miłością!

nie byłem nigdy syty... a ty głodny
ja wywyższony... ty samotny w nocy
o każdej porze na ciebie czekałem
gdyś potrzebował ode mnie pomocy!

szedłem cierpliwie... spójrz na moje nogi...
niosłem cierpliwie... spójrz na moje dłonie...
i oto widzisz na co zasłużyłem...?
na krzyż wysoki... i ciernie w koronie...!



pamięć

ks. Janowi Twardowskiemu

widziałem pamięć w kształcie krzyża
w krzyżu chorągwie – świecy płomień
kwiatów stygnące krwawe krople
ludzi łamiących ciszę wspomnień

okruchy słów ściskane w dłoniach
jak rozpalonych węgli oczy
gdy anioł ze złamanym skrzydłem
tuż obok przygarbiony kroczył

i byłem pośród tego tłumu
co szeptał „wszystko ci wybaczę...”
choć nieraz jeszcze za plecami
z dymiącym ostrzem cię zobaczę...

drzewo odkupienia

góry i drzewa
odarte do kości
Bóg! patrzy zatroskany
ze Wzgórza Litości

wie że człowiek wróci
po życia zgryzotę
i poniesie ciężko
na swoją Golgotę

i będzie długo płakał
aż z ziarna cierpienia
wyrośnie znów wysokie
Drzewo Odkupienia...!

Twoim śladem

z kąta naszego życia
znad codziennego znoju
do Ciebie Chryste! wołamy
ze środka niepokoju

więc popatrz gdzie obsiałeś
krzyżami kraj nam tkliwy
by chlebem rósł powszednim
i zawsze sprawiedliwym

naucz że przez cierpienie
do ciebie się zbliżamy
nim nas obrócisz w boleść
nim nas obrócisz w rany

nim pełni zamyślenia
pod obelg ciężkich gradem
każdy na swą Gologotę
pójdziemy Twoim śladem

a kiedy przyjdzie pora
ziemskiego pożegnania
Ty! z naszej śmierci uczyn
wielki cud... zmartwychwstania!

Frasobliwy z Ochodzitej

nieubrany... na chłodzie
w cierniowej koronie
przepasany sznurem
chyli krwawe skronie

na płonące czoło
wiatr Mu kładzie dłonie
ciężko jest królować
nad beskidzkim groniem

szcerniał więc od zimna
od troski i bólu
niełatwa jest dola
opuszczonych królów

nogi zeszywniałe
dłonie jak kamienie
czy ludzie mają w piersi
kamień...? czy sumienie...?!

duma Frasobliwy
z pochyloną głową
liczy krople deszczu
każde dobre słowo

i pod Ochodzitą
wciąż cierpliwie czeka
bo tu czasem spotka
dobrego człowieka

co balsam modlitwy
wleje Mu na rany
wtedy się uśmiecha
choć srodze stroskany

bo ma znowu siły
choć pochyla głowę
by przebaczyć grzechy
i stare... i nowe...

nieubrany... na chłodzie
przepasany sznurem
wie że musi pokonać
tę beskidzką górę

by potem ze szczytu
co sięga aż w niebo
liczyć tych co idą
z modlitwą do Niego...!

podziękowanie

więc dziękuję Ci Panie! że znów ocalałem
choć imię Twe nieraz swym życiem kalałem
odchodziłem zbyt słaby by wierzyć na słowo
popychany przez bliźnich ich podstępą mową
ale jakże się cieszę że jestem tym łotrem
co przed śmiercią odwrócił oczy od łez mokre
że wzięłeś mnie do siebie w godzinie skonania
bym i ja mógł dostąpić kiedyś zmartwychwstania

i co zostanie?

i
co zostanie?
tylko drzazga krzyża
pod żebra wbita
zdrady klingą długą

i
ból gwiazda
co opadać zacznie
przez zegar życia
krwawą jasną smugą?

i
co ocalisz?
w ramionach przybitych
kruchą nadzieję
ludzkiego ratunku

i
siną pręgę
co ci twarz owinie
zdradliwym batem
złego pocałunku

i
co zostanie?
tylko drzazga krzyża
wbita pod żebra
w godzinie konania

i
iskra wiary
co nas zaprowadzi
przed Jego oczy
w chwili zmartwychwstania!

nim nas dźwigną...

pot wyżera nam już bruzdy
i cieknie wzdłuż krzyża
to na razie tylko kroczek
co do końca zbliża

bo na razie jest to tylko
jeden dzień z tysiąca
nim koronę nam nadzieją
nim dojdziemy końca

nim nas dźwigną i poranią
szyderstwa gwoździami
nim się chłodna skiba ziemi
pomodli za nami...

i ten trójkąt

jeszcze nas nie przeżarła rdza obojętności
rak złośliwy nas jeszcze nie toczy
coraz częściej jednak słabniemy
w czarnej chmurze co spada na oczy

coraz częściej błądzimy w ciemności
bo zabrakło latarni w oddali
nasze życie jak krucha łódka
porzucona na łaskę fali

w podłych czasach pogardy dla serca
świat okładam z rozpaczny pięściami
pozostała mi tylko duma
i ten trójkąt wiszący nad nami...

Bóg zapisze w kamieniu...

przejdiesz w życiu przez wszystko co ci los przyniesie
przez fiolety i granat... przez światło i cienie...
przez radości i smutki... początek i śmierć...
przez życie które spływa spienionym strumieniem

byłaś różą i ptakiem... cierniem i wolnością...
jasną monstrancją świtu nad urwanym brzegiem
źródłem co daje życie gdzieś w Dolinie Światła
i korzeniem co szyje dzieje krwawym ściegiem

z okruchów godzin życie ułoży krajobraz
mrok i światło przesieją oczy naszych lat
twarz tego co odejdzie w długą smugę cienia
Bóg zapisze w kamieniu jedną z wielu dat...

bądź gotowy...

nad otchłanią czasu – kruchy zegar losu
uczepiony wahadłem w splotach naszych godzin
przez oczy zasłonięte obłokami marzeń
codziennosc niecierpliwie boleśnie przechodzi

to co masz zapisane – zostanie spełnione
choćbyś plątał bez przerwy każdą z swoich dróg
choćbyś biegł oszalały z rozpacz i bólu
nie uciekniesz! – bo wyrok ma spisany Bóg!

twoja godzina wybije gdy nadejdzie pora
nie oszukasz czasu – nie przechrzysz losu
bądź gotowy by zabrać ostatnią nadzieję
gdy ci zada ostatni ze śmiertelnych ciosów...

mój Chrystus

łzami otoczony... źródłem i płomieniem...
okryty płaszczem ziemi... owiany kosmosem...
Dobry Wielki Boże! fiołkiem w cichym kącie
pomiędzy żywiołami wzrastam swoim losem...

Tyś pomiędzy początkiem i końcem wszechświata
pochylony u źródła... biegnący ku brzegom...
Panie! co nas przenikasz oczami jak mieczem
Tyś pośród tych żywiołów – Alfą i Omegą...

od narodzin do śmierci Twoja dobra twarz
Twoje oczy ogromne patrzące nad nami
z otchłani co ogarnąć nie umiemy myślą
po wieczność co się sypie zmarłymi gwiazdami

na Twojej ludzkiej twarzy ślad czasu na czole
i data co w nas ludzkie sumienie porusza
bo przecież oto wiemy że się zbliża data
gdy spłynie krwią oblicze mojego Chrystusa

i dźwigniesz nas w cierpieniu ponad ludzkie sprawy
jedynie całun śmierci zostawisz skrwawiony
byśmy mogli zobaczyć Twoje ziemskie ślady
gdy patrzyłeś poprzez gorycz cierniowej korony

Twoje oczy ogromne czuwają nade mną
dzięki nim widzę światło... barwę... i sumienie
co mi Panie zostaje gdy Ty wszystko wiesz...
...pokora i modlitwa... miłość... i... milczenie...

Encykliki: <i>Veritatis splendor</i>	2,80
<i>Evangelium vitae</i>	4,80
Adhortacja: <i>Vita consecrata</i>	4,00
Listy apostołskie: <i>Tertio Millennio adveniente</i>	2,00
<i>Mulieris dignitatem</i>	3,00
List do kobiet	1,00
Listy do młodzieży	1,00
Orędzie na XXIX Światowy Dzień Pokoju	1,20

*

Ponadto polecamy:

Bp M. Jędraszewski, *Jan Paweł II w Poznaniu* (8 zł)

K. Dopierała, *Księga papieża*, w której znajduje się biogram Jana Pawła II (40 i 50 zł)

Teksty Jana Pawła II znalazły się w książce:

Ks. J. Królikowski, *Powstanie i znaczenie Katechizmu Kościoła Katolickiego w wypowiedziach papieża Jana Pawła II i kard. J. Ratzingera* (8 zł)

*

W związku z jubileuszem Roku 2000 wydaliśmy *Ewangelię wg św. Marka* z Listem Ojca świętego (2,60 zł) na rok 1997 i *Ewangelię wg św. Łukasza* na rok 1998

„Pójdź za Mną”

Te słowa Chrystus kieruje również do Ciebie, ponieważ potrzebuje Twoich rąk. Przyjmując wezwanie Chrystusa, zostań pallotynem.

Pallotyni prowadzą następujące prace:

animacja apostołów świeckich dla Kościoła w Polsce

- rekolekcje
- wieczniki młodzieżowe
- duszpasterstwo akademickie
- duszpasterstwo chorych (hospicjum, kapelani szpitalni)
- duszpasterstwo parafialne
- duszpasterstwo pielgrzymkowe
- duszpasterstwo wojskowe
- wydawnictwo książek i prasy katolickiej

misje

- w Ameryce Południowej (Brazylia)
- w Afryce (Rwanda, Zair, Wybrzeże Kości Słoniowej)
- na Dalekim Wschodzie (Korea Południowa, Papua Nowa Gwinea)

praca

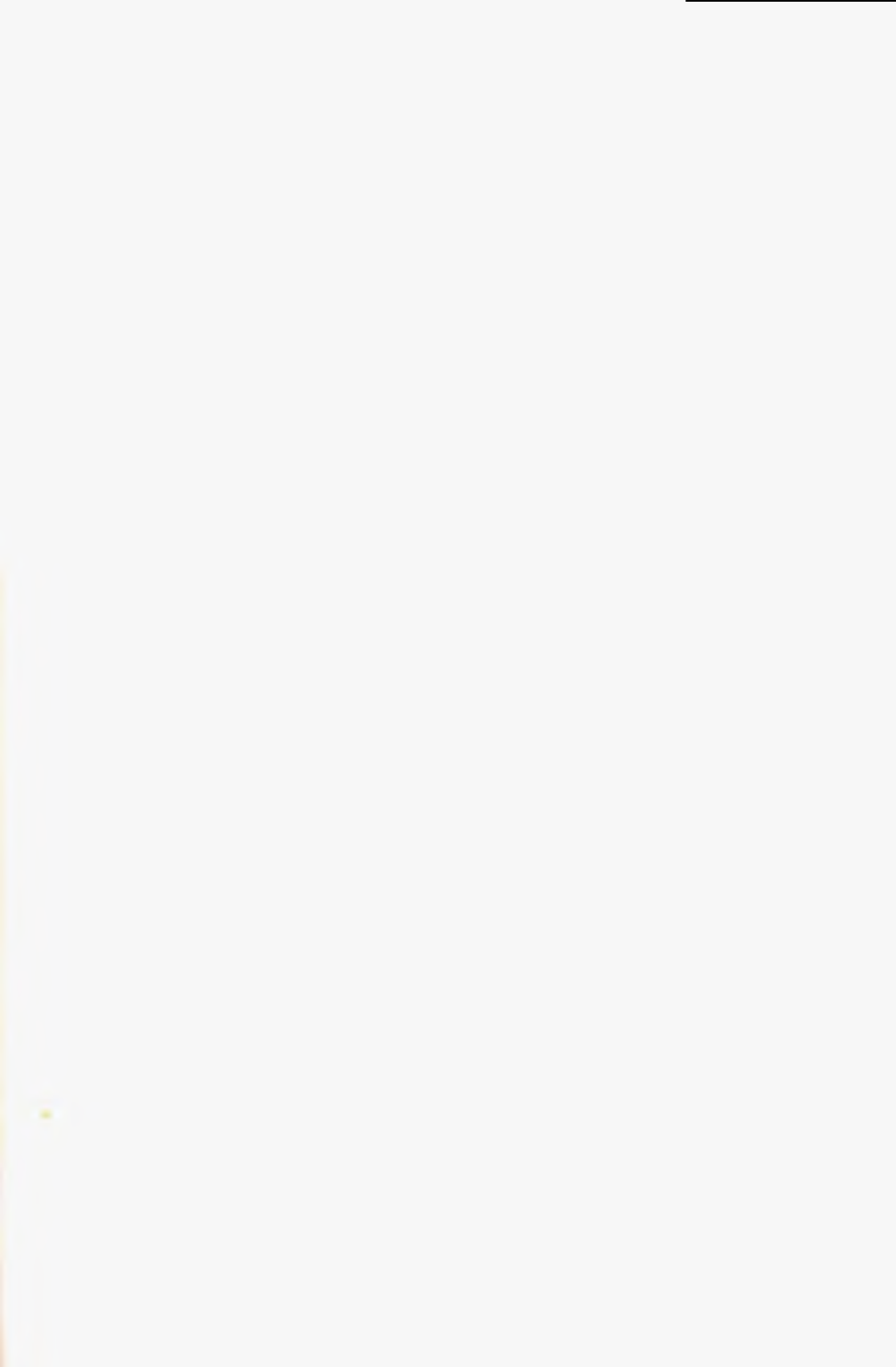
- na Białorusi, Ukrainie i Słowacji

Propozycja Chrystusa może budzić w Tobie wątpliwości, a nawet lęk. Jest to zupełnie zrozumiałe. Nikt jednak nie może odkryć za Ciebie sensu Twojego życia i prawdy o Twoim powołaniu. Możemy Ci pomóc, dlatego zapraszamy Cię do naszych ośrodków, które organizują specjalne spotkania modlitewne, rekolekcje, dni skupienia, obozy, podczas których podejmujemy problematykę powołaniową.

Jeśli interesuje Cię nasza propozycja, to wstąp i porozmawiaj z miejscowym pallotynem lub napisz:

Pallotyński Ośrodek Powołań
Prowincji Zwiastowania Pańskiego SAC
ul. Kordeckiego 49; 42-226 Częstochowa
tel. (0-34) 65-64-53 lub 65-66-68

Pallotyński Ośrodek Powołań
Prowincji Chrystusa Króla SAC
ul. Skaryszewska 12; 03-802 Warszawa
tel. (0-22) 18-27-51





KAZIMIERZ JÓZEF WĘGRZYN

Poeta. Urodzony 1 stycznia 1947 r. w Miejscu Piastowym na Podkarpaciu. Od 1967 r. mieszka i pracuje w sanatorium na Kubalonce. Absolwent Uniwersytetu

Jagiellońskiego. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich, Nagrody Specjalnej Śląsko-Dąbrowskiego Komitetu Kultury Niezależnej. Współpracownik „Gościa Niedzielnego”, Polskiego Radia i Telewizji. Publikował w wielu czasopismach i wydaniach zbiorowych. Dotychczas ukazały się następujące zbiory jego wierszy: *Próba samookreślenia, Gdy nocą świeci jasne próchno historii, Obok Kaina, Krwawiąca dolina, Czarne kwiaty, Kiedy mówią znów kamienie, W imię Twoje, Requiem Poloniae, Z gwiazdą nadziei, Bo tylko słów muzyką potrafię Ci służyć, Dom na przełęczy, Sen Hioba, W cieniu krzyża, Tędy szedł Chrystus, Sanatorium po drugiej stronie nieba, Nawracanie cholera, Zielona parafia, Wierzbowe sumienie* (wybór wierszy na kasecie magnetofonowej), *Dopokąd idę..., Polskie sumienie, Trzecie pianie koguta.*

PALLOTTINUM